Edmond Hamilton

Ostatnie ostrzeżenie przed Dniem Zagłady

(Last Call for Doomsday!)

Imagination, December 1956
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

ROZDZIAŁ I

Głęboki dreszcz wstrząsnął Jayem Walesem. Teraz żałował, że musi wracać na Ziemię, ten ostatni raz. Wolałby pamiętać starą planetę człowieka taką, jaka była kiedyś, a nie taką, jaka będzie teraz, w godzinie śmierci.

— Wydaje się niemożliwe, że to naprawdę się stanie — stwierdził Hollenberg, kapitan.

Nie patrzył na Ziemię. Spoglądał poza nią, na błyszczące gwiazdy.

Wales też zerknął. Wiedział, gdzie szukać. Znalazł słabiutką, małą iskierkę światła, daleko po drugiej stronie Układu Słonecznego.

Iskra wielkości główki szpilki, nieznaczący rozbłysk w nerwie wzrokowym, to wszystko.

To i ręka Boga, sięgająca poprzez wszechświat.

— To się stanie — odparł Wales, nie odwracając się. — 27 września 1997 roku, za cztery miesiące. To się stanie.

Statek rakietowy wpadł w konwulsje, wstrząsające całą jego ogromną konstrukcją, wywołane rozdzierającym rykiem odpalanych silników hamujących.

Obaj mężczyźni odetchnęli mocniej i położyli się na swoich fotelach antyprzeciążeniowych. Niebawem grzmoty i wstrząsy ustały.

— Ludzie — powiedział Hollenberg — zastanawiają się, czy naprawdę to się stanie.

Po raz pierwszy Wales popatrzył na niego ostro.

— Ludzie, gdzie?

Hollenberg skinął głową w stronę iluminatora.

— Na Ziemi. Przy każdym kursie, jaki wykonujemy, słyszymy takie rzeczy. Mówią…

I znowu to samo, pomyślał Wales, plotki, szepty, które docierały na Marsa, z każdym tygodniem także robiły się coraz silniejsze i bardziej natarczywe.

Na Marsie, w zatłoczonych miastach z prefabrykatów, gdzie setki milionów ludzi z Ziemi osiedliło się już, by rozpocząć nowe życie, a kolejne miliony miały przybywać co miesiąc, plotki zawsze były takie same.

„Coś jest nie tak na Ziemi. Ewakuacja nie idzie dobrze. Statki nie latają zgodne z harmonogramem…”

Początkowo Wales zbytnio się tym nie przejmował. Zajmował się swoją własną robotą. Dostosowanie przybywających milionów ludzi do nowej, zatłoczonej planety, do nowego, niełatwego sposobu życia, wymagało wystarczająco wiele pracy. Był czwartym w strukturze kierownictwa Biura Przesiedleńczego, a to oznaczało pracę, która nigdy się nie kończyła.

Nawet kiedy sekretarz wezwał go do nowej stolicy ONZ na Marsie, spodziewał się tylko opinii o postępach w przesiedleniu. Nie spodziewał się tego, co go spotkało.

Sekretarz, zwykle cichy, zrelaksowany człowiek, był zmęczony, wychudzony, szary na twarzy, zdenerwowany i przytłoczony największym ciężarem w historii ludzkości. Kiedy pojawił się Wales, nie marnował czasu na owijanie w bawełnę.

— Znał pan Kendricka osobiście?

Nie było potrzeby używania imion. Od pięciu lat na świecie był tylko jeden Kendrick, który się liczył.

— Znałem go — powiedział Wales. — Chodziłem do szkoły z obojgiem Kendricków, Lee i z Marthą – jego siostrą.

— Gdzie on jest?

Wales popatrzył na niego.

— Został na Ziemi, w Obserwatorium Westpenn. Powiedział, że niedługo się tu pojawi.

Sekretarz powiedział:

— Nie ma go w Obserwatorium. Ale też nie przyleciał na Marsa. Zniknął.

— Ale, dlaczego…

— Nie obchodzi mnie, dlaczego, Wales. Chcę wiedzieć, gdzie. Trzeba odnaleźć Kendricka. Jego zniknięcie wpływa na ewakuację. Takie są raporty, które dostałem od kilkunastu różnych ludzi na Ziemi. Wysyłam im zapytanie: „Dlaczego harmonogramy rakiet się opóźniają?" Mówię im: „Mamy Dzień Zagłady, minus 122 dni, i ewakuacja musi przebiegać szybciej". Otrzymuję odpowiedź: „Przyczyną jest zniknięcie Kendricka, dokładamy wszelkich starań, aby go odnaleźć".

Po chwili milczenia sekretarz dodał:

— Niech pan wraca na Ziemię, Wales. Proszę znaleźć Kendricka. Niech pan się dowie, co spowalnia ewakuację. Musimy przyspieszyć, człowieku! Na Ziemi wciąż pozostało ponad dwanaście milionów ludzi.

I tak oto znalazłem się tutaj, pomyślał Wales, w statku rakietowym pędzącym z powrotem na Ziemię, w jednym z niekończących się kursów Windy na Marsa, i wciąż nie wiem dlaczego ewakuacja zwolniła, ani co ma z tym wspólnego zniknięcie Lee Kendricka. I będę miał bardzo mało czasu, żeby się tego dowiedzieć.

Rozpoczęli już podejście do lądowania, a turkusowy punkcik zmienił się w wielki niebieski balon poznaczony białymi chmurami. Hollenberg był teraz zbyt zajęty lądowaniem, żeby rozmawiać. Kapitan rakiety wydawał się naprawdę odczuwać ulgę, że nie został przesłuchany.

Pęd w środku, ryk powietrza na zewnątrz kadłuba, ognie wyrzutu rakiet hamujących huczące niczym młoty olbrzymów, pogrążona w cieniu nocna strona planety, zmierzająca im na spotkanie…

Kiedy wyszedł na asfalt lądowiska portu kosmicznego, Wales odetchnął głęboko chłodnym nocnym powietrzem. Ziemskie powietrze. Dla ludzi nie

było innego równie dobrego. Nic dziwnego, że na Marsie tęsknili za jego ostrym zapachem. Nic dziwnego, że stare kobiety w zatłoczonych nowych miastach wciąż płakały, kiedy rozmawiały o Ziemi.

Wyprostował ramiona i zapiął tunikę munduru ONZ. Nie przyleciał tutaj, by wyrzucać z siebie emocje. Miał robotę do wykonania. Wszedł na jeden z ruchomych pasów i pojechał przez wielki port kosmiczny w stronę wysokiego, lśniącego skupiska świateł, które oznaczało kwaterę główną.

W oddali, na ciemnej równinie majaczyły masywne czarne kadłuby statków rakietowych. Były ich dziesiątki, setki. I ciągle podchodziły kolejne, zgodnie ze sztywnym harmonogramem lądowania. Niebo w górze, raz za razem, rozdzierane było grzmotem, a wielkie statki schodziły, kierując w dół ogniste strumienie rakiet hamujących.

Wales wiedział, co do jednego, ile razy w ciągu ostatnich lat statki wzbijały się z tego kosmodromu i ile razy, po tym jak każdy z nich przewiózł tysiące ludzi na Marsa, wracały. Wyruszyły stąd dziesiątki milionów ludzi. A Port Kosmiczny New Jersey był tylko jednym z wielu portów kosmicznych służących ewakuacji. Mogło zakręcić się w głowie, z powodu wykonanej pracy, ogromnej liczby osób, które zostały zabrane na tę inną planetę.

I nadal były zabierane. Pod kolorowymi światłami Wales zobaczył długą kolejkę mężczyzn, kobiet i dzieci prowadzącą w kierunku jednego z pobliskich statków. Błyskały sygnały. Głośniki ryczały metalicznie.

— …na statek 778! Wszyscy przydzieleni na statek 778 mają udać się tędy! Proszę przygotować swoje dokumenty ewakuacyjne!

Wales przeszedł obok tych ludzi, nie patrząc im w twarze, nie chcąc ich widzieć.

Hałas i zamieszanie narosły, gdy zbliżał się do Budynku Administracyjnego. W pobliżu rozładowywano autobusy, niekończące się ładunki ludzi, ludzi – zawsze ludzi, zawsze z tymi bladymi twarzami.

Uzbrojony strażnik przed wejściem do Administracji spojrzał na mundur Walesa, a następnie na jego listy uwierzytelniające i przepuścił go.

— Biuro koordynatora portu jest na wprost — poinformował.

We wnętrzu budynku kłębił się wir umundurowanych mężczyzn i kobiet, klekoczących maszyn księgujących, dzwoniących telefonów.

Wales pomyślał, że tutaj czuje się prawdziwy puls Windy na Marsa. Puls, który teraz przyspieszył, jak puls umierającego człowieka.

Bourreau, koordynator Portu, był krępym, łysym, spoconym człowiekiem, który kiedy wszedł Wales, zrzucił właśnie marynarkę munduru i pił przy biurku kawę.

— Siadaj — powiedział. — Słyszałem, że masz przylecieć. Słyszałem, że sekretarz przysłał cię, żebyś dał nam solidnie popalić.

— Nic takiego — odparł Wales. — On po prostu chce wiedzieć, dlaczego, u diabła, opóźnia się plan ewakuacji?

Bourreau opróżnił filiżankę, odstawił ją i otarł usta.

— Słuchaj — oznajmił, — to nie ze mną chcesz rozmawiać.

— Nie z tobą?

— Nie. Ja jestem koordynatorem Portu, i to wszystko. Wysłałem stąd miliony ludzi. Urząd Ewakuacji przysyła ich tutaj, z punktu zbiorczego w Nowym Jorku. Dobrych ludzi, niezbyt dobrych ludzi i ludzi którzy nie są warci ratowania. Ale dla mnie oni wszyscy, to tylko jednostki. Docierają tutaj, wystrzeliwuję ich w kosmos. To wszystko. Człowiek, z którym chcesz porozmawiać, to John Fairlie.

— Regionalny Komendant Ewakuacji?

— Tak. Porozmawiaj z nim w Nowym Jorku. Mam dla ciebie samochód i kierowcę.

Wales wstał. Było oczywiste, że Bourreau był na niego przygotowany i nie zamierzał zbierać za nikogo cięgów. Równie oczywiste było, że od tego człowieka o zniknięciu Kendricka nie dowie się nic.

— W porządku — zgodził się. — Najpierw zobaczę się z Fairliem.

Kierowca samochodu, szeregowiec ONZ, skręcił w boczną drogę niemal natychmiast po opuszczeniu portu kosmicznego.

— Nie ma sensu przebijać się przez te wszystkie autobusy i ciężarówki ewakuacyjne — powiedział. — Kiedy chcemy się pośpieszyć, korzystamy ze starych dróg,. Teraz nie ma na nich ruchu.

Stare drogi. Wstęgi betonu i asfaltu, którymi kiedyś jeździło tysiące samochodów, dzień i noc. Teraz były ciemne i puste.

Samochód przemknął przez wioskę. Tam też było ciemno i pusto. Przejeżdżali pośród wiejskich terenów, pozbawionych najmniejszego światełka. A potem pokonali jakąś większą wioskę, której ciemne okna spoglądały na nich jak ślepe oczy.

— Wszyscy zostali ewakuowani — wyjaśnił kierowca. — Każda wioska, miasto, farma, między tym miejscem a Nowym Jorkiem, została zamknięta już dwa-trzy lata temu.

Wales siedział przygarbiony przy otwartym oknie, obserwując przewijającą się pod kołami drogę, i zobaczył z przodu na zakręcie stary wiejski dom. Złapały go światła reflektorów i dostrzegł, że wszystkie okiennice w oknach są zamknięte. Ktoś, jakaś rodzina, na zawsze opuścił ten dom i kazał starannie zamykać okna – w ochronie przez zagładą.

Mijali topole, wierzby i wiązy, a od czasu do czasu unosił się zapach kwiatów i kwitnących orchidei. Stare jabłonie, niewinnie nieświadome końca świata, ponownie szykowały się do owocowania.

Wales poczuł ostre, przejmujące uczucie. Zadał sobie pytanie, tak samo jak świat pytał o to przez pięć ostatnich lat: Dlaczego musiało się tak stać?

Była na to tylko jedna odpowiedź. Daleko, w ciemnym, samotnym zakątku Układu Słonecznego, poza nowymi marsjańskimi koloniami, znajdowały się tysiące asteroid, które krążyły po niewiarygodnie złożonych i mimośrodowych orbitach — to one stanowiły odpowiedź. Były czółenkami, tkającymi pajęczynę losu.

Kendrick był pierwszym, który to dostrzegł, zauważył że w przypadku jednej z dużych asteroid, następne przejście w pobliżu Jowisza spowoduje,

iż mimośrodowość jej orbity stanie się zbyt duża. Kendrick obserwował ją przy pomocy kamery i teleskopu, a następnie korzystając z wielkich elektronicznych kalkulatorów, wykreślił tę orbitę na wiele lat naprzód, i…

Wales często zastanawiał się, jak czuł się Lee Kendrick, kiedy dotarły do niego pierwsze informacje, kiedy pierwsze matematyczne formuły wskazujące na zagładę, pojawiły się na taśmie wydruku kalkulatora. Mene, Mene, Tekel, Upharsin, zapisane w równaniach. Komputer elektroniczny, z pasją przepowiadający koniec świata człowieka…

„Za pięć lat mimośrodowość asteroidy Nereus w końcu przeniesie ją na orbitę ziemską, do punktu, w którym zderzy się ona z Ziemią. Ta kolizja sprawi, że nasza planeta nie będzie nadawała się do zamieszkania”.

Dobrze pamiętał początkowe osłupienie, z jakim świat przyjął to obwieszczenie, po tym, jak obliczenia Kendricka zostały udowodnione ponad wszelką wątpliwość.

„Żadna dostępna nam siła nie jest w stanie zniszczyć asteroidy ani zepchnąć jej tak bardzo z kursu. Ale w ciągu pięciu lat powinniśmy być w stanie ewakuować wszystkich ludzi z Ziemi na Marsa”.

Kendrick, pomyślał Wales, był w stanie dać Ziemi o kilka lat wcześniejsze ostrzeżenie, co oznaczało ratunek. Kilka lat, w czasie których można było zbudować dziesiątki tysięcy wielkich statków rakietowych i uruchomić Windę na Marsa. Jeśli ludzkość przeżyje, stanie się to dzięki ostrzeżeniu Kendricka. Dlaczego miałby teraz zniknąć?

Wales nagle zdał sobie sprawę, że jego kierowca nacisnął hamulec. Znajdowali się na obrzeżach Morristown.

Ulice tutaj nie były ciemne i martwe. Widział blask latarek, ruch ciemnych postaci i słyszał nawołujące się głosy.

— Myślałem, że powiedział pan, iż te miasta zostały zamknięte? — zapytał Wales.

Kierowca skinął głową.

— Tak. Ale w niektórych z nich wciąż są ludzie. Szabrownicy. — Urwał. — Lepiej pojedźmy tutaj okrężną drogą.

— Szabrownicy? — Wales był zdumiony. — Chce pan powiedzieć, że ich nie powstrzymujecie?

— Proszę posłuchać — odparł kierowca. — Co to za różnica, czy sobie coś zabiorą, skoro jakieś miejsce jest zamknięte?

Wales zapomniał. Faktycznie, jaką to robiło różnicę? Prawie opustoszała Ziemia teraz, gdy zbliżała się do niej nieunikniona katastrofa, była własnością każdego człowieka.

Uderzyła go pewna myśl. Ci ludzie nie mogli się spodziewać, że zabiorą ze sobą łupy, kiedy zostaną ewakuowani. Nie planowali więc ewakuacji.

Powiedział:

— Proszę tutaj zaczekać. Mam zamiar im się przyjrzeć.

— Nie robiłbym tego — powiedział pospiesznie kierowca. — Ci ludzie…

— Po prostu proszę poczekać — polecił krótko Wales.

Ruszył od samochodu, w kierunku latarek, cieni i pokrzykujących głosów.

W dobiegających głosach brzmiała nuta podniecenia, a kilka z nich było mocno przesiąkniętych alkoholem. Byli to zarówno mężczyźni jak i kobiety, oraz kilku pokrzykujących młodzieńców.

Nie wybijali okien. Po prostu używali łomów do sforsowania drzwi. Wiele drzwi nie było nawet zamkniętych na klucz. Ochocze dłonie rozdawały różnorodną kolekcję przedmiotów, drobnych sprzętów, butelek z alkoholem, syntetyków w puszkach, ubrań.

Nic dziwnego, że ewakuacja przebiegała niezgodnie z planem, pomyślał Wales. Pozwalać ludziom w taki sposób robić z siebie głupców…

Obok niego błysnął promień latarki, męska twarz popatrzyła na jego mundur, a tuż koło jego uszu rozległ się głośny głos:

— Patrzcie, ludzie! To oficer ewakuacyjny!

Zapadła martwa cisza, a potem skierowały się na niego wszystkie latarki. Gdzieś w grupie jakaś kobieta krzyknęła głośno.

— Ścigają nas! Wsadzą nas na statek i zabiorą!

— Zabić drania, załatwić go! — wrzasnął wściekły głos.

Wales zbyt zdumiony, by się bronić, poczuł nagły deszcz niezdarnych ciosów, które powaliły go na kolana.

ROZDZIAŁ II

Uratowała go sama liczba napastników. Było ich zbyt wielu, zbyt ochoczo pragnących się do niego dobrać. Kiedy upadł na chodnik, porzucali latarki i zbili się w ciemności w bezładny tłum, wchodząc sobie nawzajem w drogę, jak rozgorączkowane psy rzucające się na małe zwierzę.

Czyjaś stopa deptała mu po ramieniu i odtoczył się od niej. Wokół niego w ciemności pełno było nóg w spodniach, które potykały się o niego. Głosy krzyczały:

— Gdzie on jest? — Wrzeszczeli: — Przynieście światła!

Światła, gdyby się pojawiły, oznaczałyby jego śmierć. Tłum, nawet tak niewielki jak ten, był jak bezmyślne zwierzę. Wales przeciskając się wśród ciemnych nóg zachował zimną krew. Krzyknął głośno:

— Zbliżają się ciężarówki ewakuacyjne – tam jadą! Dalej, zniszczmy je!

Nie sądził, że to zadziała, ale na szczęście się udało. W tej hałaśliwej, szamoczącej się ciemności nikt nie wiedział, kto krzyczy. A ci ludzie byli już wzburzeni.

Nogi wokół niego przesunęły się, zatupały i pobiegły po chodniku. Jakaś kobieta pisnęła cicho ze strachu. Pozostał sam w ciemności.

Nie sądził, żeby został sam na długo. Zaczął podnosić się na nogi koło krawężnika, i jego ręka wsunęła się w otwór – długi wlot kanału burzowego przy krawężniku.

Myślał raczej o budynku, ale to było nawet lepsze. Przekręcił się na brzuch i wsunął bokiem do odpływu. Leżał cicho w betonowej dziurze, cuchnącej starym błotem.

Stopy wróciły dudniąc echem po ulicach, dostrzegł skośne snopy światła i migotanie. Wściekłe głosy krzyczały to tu, to tam.

— Nie ma go tutaj. Uciekł. Ale w pobliżu muszą być inni cholerni Ewakuatorzy. Będą chcieli nas złapać…

— Na Boga, nikt mnie nie złapie i nie wywiezie na Marsa! — odezwał się głęboki basowy głos tuż obok Walesa.

Ktoś inny rzucił:

— Cała ta bzdura o Świecie Kendricka… — i dodał przekleństwo.

Wales leżał nieruchomo w swojej betonowej dziurze, obmacując posiniaczone ramię. Usłyszał, jak odchodzą.

Odczekał trochę, a potem się wyczołgał. Stał na ciemnej ulicy, zabłocony i posiniaczony, teraz już świadomy, że się trzęsie.

Co u licha naszło tych ludzi? Na początku, pięć lat temu, rzeczywiście trudno było przekonać wielu, że ta błądząca asteroida naprawdę zderzy się z Ziemią. Wiele osób nie uwierzyło w pierwsze oświadczenie Kendricka.

Ale kiedy potwierdziły je wszystkie wielokrotne sprawdzenia dokonane przez znanych w świecie naukowców, wielka kampania indoktrynacyjna poprowadzona przez ONZ pozostawiła niewielu sceptyków. Sam Wales pamiętał, jak wykorzystano w niej każde medium komunikacyjne.

— Ziemia nie zostanie co prawda zniszczona — powtarzali w kółko spikerzy ONZ. — Ale na długi czas stanie się niezdatna do zamieszkania. Asteroida Nereus, uderzając w nią, wygeneruje taką falę uderzeniową i cieplną, że żadna żywa istota nie będzie w stanie jej przetrwać. Ludzie – wszyscy ludzie – będą musieli żyć na Marsie być może przez całe pokolenie.

Ludzie uwierzyli. Byli wtedy wdzięczni, że oferowano im sposób na ucieczkę przed nadchodzącą katastrofą – że kolonizacja Marsa posunęła się na tyle daleko, iż mógł on posłużyć jako miejsce schronienia dla człowieka, oraz że współczesne metody produkcji syntetycznej żywności i wody, z każdej skały, umożliwią wykarmienie wszystkich milionów Ziemi na tej suchej planecie.

Pracowali z pełnym oddaniem nad kolosalnym programem ratunkowym Operacji Dzień Zagłady, nad budową ogromnej floty transportowych statków rakietowych, nad produkcją i wysyłką materiałów dla wielkich nowych marsjańskich miast z prefabrykatów. Dziesiątki i setki milionów ludzi udawały się w zaplanowanym porządku do portów kosmicznych i srebrnych statków, które ich zabierały.

Ale teraz, kiedy na Ziemi ciągle pozostały miliony ludzi, nastąpiła zmiana. Teraz na Ziemi narastał sceptycyzm i bunt przeciwko ewakuacji.

To nie ma sensu, pomyślał Wales.

Nagle bardzo zapragnął dotrzeć do Nowego Jorku i zobaczyć się z Fairliem.

Wrócił ciemną ulicą do głównej alei, na której słabo migotały małe, białe znaki drogowe. Rozglądał się za samochodem, ale go nie widział.

Wzruszywszy ramionami Wales ruszył szosą. Nie mógł być zbyt daleko od wielkiej drogi ewakuacyjnej.

Przeszedł w ciemności zaledwie kilka przecznic, gdy nagle zapaliły się reflektory i oświetliły go. Odwrócił się zaskoczony.

— Panie Wales — odezwał się głos.

Wales rozluźnił się. Podszedł do świateł. To był kierowca w mundurze ONZ oraz samochód, zaparkowany nieco z tyłu w alei.

— Myślałem, że jest pan już z powrotem w porcie kosmicznym — rzucił kwaśno Wales.

Kierowca zarzekał się.

— Nie zamierzałem uciekać. Ale nie było sensu szarpać się z tym tłumem. Czy nie ostrzegałem pana? Mundur ewakuacyjny doprowadza ich do szału.

Wales usiadł obok niego.

— Jedźmy stąd.

Gdy ruszyli, spytał:

— Kiedy cztery lata temu opuszczałem Ziemię, nie wydawało się by choćby jeden człowiek wątpił w Dzień Zagłady. Dlaczego ci ludzie teraz zwątpili?

Kierowca wyjaśnił mu:

— Gadają, że Świat Kendricka to tylko straszak, że mimo wszystko nie uderzy w Ziemię.

— Kto im coś takiego powiedział?

— Nikt nie wie, od czego to się zaczęło. Na początku niewielu wierzyło w te pogłoski. Ale potem ludzie zaczęli mówić: „Kendrick był człowiekiem, który przewidział Dzień Zagłady – gdyby naprawdę w niego wierzył, opuściłby Ziemię!"

— A co na to Kendrick?

— Nie odzywa się. Podobno po prostu się ukrył. A przynajmniej urzędnicy przyznają, że nie poleciał na Marsa. Nic dziwnego, że wielu ludzi zaczęło gadać: „On wie, że jego przewidywania były błędne, dlatego nie chce opuścić Ziemi!"

Po pewnym czasie Wales zapytał:

— A pan, co sobie myśli?

Kierowca odparł:

— Ja z całą pewnością lecę w kosmos w ramach Ewakuacji. I co z tego, że może Kendrick i reszta się mylą? A co mam do stracenia? Jednak jeśli pomimo wszystko dojdzie do wielkiego bum, to przynajmniej mnie tutaj nie będzie.

Świt rozjaśnił niebo przed nimi, podczas gdy samochód toczył się przez coraz bardziej ciche miasta. Dotarli do autostrady powietrznej i pędzili nad dachami budynków. Stare wieżowce Nowego Jorku, wyrastały w niebo mgliście i widmowo na tle jaśniejącego dnia.

W samym śródmieściu nagle znów znaleźli się wśród ludzi. Było ich pełno na chodnikach i tworzyli różnorodny tłum. Robotnicy i ich rodziny ze

środkowego zachodu, drwale i górnicy z północy, biznesmeni o pokaźnej tuszy, kobiety, dzieci, niemowlęta, psy, ptaki w klatkach, przemieszana, wolno poruszająca się masa ludzi, wędrująca bez celu ulicami, czekająca na wezwanie do autobusów i portów kosmicznych, oraz opuszczenie ojczystej planety.

Policjanci ewakuacyjni w szarych mundurach byli liczni i ku zaskoczeniu Walesa chodzili uzbrojeni. Po ulicach jeździły tylko samochody służbowe, Wales zauważył częste nieprzyjazne spojrzenia, obrzucające tu i ówdzie z tłumu jego własny samochód. Nie wydawało mu się, aby ci ludzie byli zbytnio zadowoleni z opuszczenia Ziemi.

Duży nowy gmach ONZ, górujący nad miastem, został zbudowany trzydzieści lat temu, aby zastąpić stary. Przypuszczał, że będzie to pusta skorupa, skoro cały Sekretariat był na Marsie. Jednak okazało się zupełnie inaczej. W tym miejscu znajdowała się kwatera główna Ewakuacji dla całej części Ameryki, i budynek zapchany był oficjelami, aktami, urzędnikami.

Wyglądało na to, że oczekiwano go tutaj. Udał się prosto do regionalnego biura Komendantury Ewakuacji.

John Fairlie był krzepkim blondynem w wieku około trzydziestu pięciu lat, promieniującym siłą, zdrowiem i inteligencją, które zawsze sprawiały, że Wales czuł się jeszcze bardziej chudy i nieśmiały, niż był w rzeczywistości.

— Omawialiśmy tutaj twoją misję — oznajmił bez ogródek Fairlie. Wskazał trzech pozostałych ludzi w pokoju. — Moi przyjaciele i koledzy-urzędnicy są asystentami komendantów Ewakuacji z innych regionów. Bliss jest z wybrzeża Pacyfiku, Chaumez z Ameryki Południowej, Holst z Europy…

Byli to ludzie w wieku Fairliego, Walesowi wydało się, że są mocno zatroskani.

— Nie żałujemy twojego przybycia, i otrzymasz z naszej strony stuprocentową współpracę — mówił dalej Fairlie. Mamy tylko nadzieję, że uda ci się ponownie przyspieszyć ewakuację, tak by nadgoniła harmonogram. Martwimy się.

— Sytuacja wygląda aż takie źle? — spytał Wales.

Bliss odparł ponuro:

— Źle i coraz gorzej. Jeśli tak dalej pójdzie, to kiedy nadejdzie Dzień Zagłady, na Ziemi nadal pozostaną miliony ludzi.

— Jak wam się wydaje — zapytał Wales, — co należy zrobić przede wszystkim?

— Znaleźć Kendricka — powiedział szybko Fairlie.

— Myślisz, że jego zniknięcie jest aż tak ważne?

— Ja wiem, że tak. — Fairlie chodził tam i z powrotem po gabinecie, jego fizyczna energia była zbytnio wzburzona, by potrafił się uspokoić. — Posłuchaj, Wales. To właśnie fakt, że Kendrick, który jako pierwszy przewidział katastrofę, sam nie opuścił Ziemi, pogłębia te wszystkie wątpliwości. Gdybyśmy zdołali odnaleźć Kendricka i pokazać ludziom, jak

leci na Marsa, zdyskredytowałoby to całą tę gadaninę, że jego przewidywania były błędne i że on o tym wie.

— Próbowałeś go już szukać?

Fairlie skinął głową.

— Przekopałem za nim całą planetę. Naprawdę chciałbym wiedzieć, co się z nim stało. Gdyby tylko udało nam się odnaleźć jego siostrę, mogłoby to nas do niego doprowadzić.

Tak, pomyślał Wales. Martha i Lee Kendrick zawsze byli sobie bliscy. A teraz zniknęli razem.

Opowiedział Fairliemu, co się mu przydarzyło w Jersey City. Ani Fairlie, ani pozostali, nie wydawali się specjalnie zaskoczeni.

— Tak. W niektórych ewakuowanych regionach sytuacja jest zła. Widzisz, kiedy już skądś wywieziemy wszystkich zarejestrowanych mieszkańców, nie możemy już wracać do tych miejsc. Nie mamy czasu, żeby je na okrągło sprawdzać. Tak więc ci którzy nie chcą lecieć – mogą się przenieść do takiego pustego miasta i przejąć nad nim kontrolę.

— Ale dlaczego oni nie chcą lecieć? — Wales przyglądał się twarzy swojego rozmówcy, gdy zadawał to pytanie. — Pięć lat temu wszyscy wierzyli w katastrofę w nadchodzącym Dniu Zagłady. Teraz ludzie tutaj stali się sceptyczni. Mówisz, że Kendrick może ich przekonać. Ale przede wszystkim, co sprawiło, że nabrali sceptycyzmu?

Fairlie odparł:

— Nie wiem, nie jestem pewien. Ale mogę ci powiedzieć, co myślę.

— No, dalej.

— Myślę, że to działanie potajemnej propagandy. Uważam, że ewakuacja jest potajemnie sabotowana przez rozsiewanie plotek, że Dzień Zagłady to mistyfikacja.

Wales poczuł potężny szok.

— Dobry Boże, człowieku, kto zrobiłby coś takiego? Kto chciałby spowodować by na Ziemi pozostały miliony ludzi, którzy zginą w Dniu Zagłady?

Fairlie popatrzył na niego.

— To straszna myśl, co? Ale fanatycy czasami robią straszne rzeczy.

— Fanatycy? Masz na myśli…

Fairlie wyjaśnił:

— Doszły do nas pogłoski o tajnej organizacji o nazwie Bractwo Pokuty. To jest grupa ludzi – nie wiemy jak duża, prawdopodobnie niewielka – którzy wydaje się że oszaleli na wieść o nadejściu Dnia Zagłady. Wierzą, że Nereus jest po prostu zemstą spadającą na grzeszną Ziemię, i że grzechy Ziemi muszą zostać odpokutowane przez śmierć wielu ludzi.

— I oni otwarcie głoszą tę doktrynę? — zapytał Wales z niedowierzaniem.

— Ależ nie. Plotki – to wszystko, co do nas dotarło. Ale… zastanawiałeś się, kto chciałby, żeby miliony ludzi pozostały na Ziemi do Dnia Zagłady. To jest możliwa odpowiedź.

Wywołało to w głowie Walesa koszmarną wizję. Szalone umysły, wytrącone z równowagi przez zbliżanie się Dnia Zagłady, sprytnie

rozsiewające wątpliwości co do nadchodzącej katastrofy, aby miliony zwątpiły oraz pozostały na Ziemi – i odpokutowały.

Bliss rzucił:

— Jacy cholerni głupcy, mogliby uwierzyć w takie rzeczy? No cóż, jeśli katastrofa złapie ich na Ziemi, przynajmniej stracimy najbardziej szaloną, najbardziej ignorancką i zacofaną część populacji.

Fairlie stwierdził ze znużeniem w głosie:

— Naszym zadaniem jest aby nie stracić nikogo, wysłać ich wszystkich w kosmos, bez względu na to, kim lub czym są.

Potem powiedział do Walesa z lekkim uśmiechem:

— Przepraszam, jeśli wydaje ci się, że za bardzo narzekamy. Spodziewam się, że twoja robota na Marsie też nie była łatwa. Tam jest faktycznie ciężko, prawda?

— Na pewno wszyscy muszą być twardzi — odparł Wales. — Całe te setki milionów ludzi, i kolejne, które ciągle tam przylatują. Ale damy radę. Musimy.

— W każdym razie, to nie moje zmartwienie — westchnął Fairlie. — Mój krzyż pański polega na tym, by wysłać tam tych upartych, ignoranckich głupców, którzy nie chcą opuścić Ziemi.

Wales krótko się zastanowił. Po kilku chwilach stwierdził:

— Masz rację, Kendrick jest kluczem. Przyleciałem tu, aby go odszukać i muszę to zrobić.

Fairlie odparł:

— Mam nadzieję, że ci się uda. Ale nie jestem specjalnym optymistą. Szukaliśmy wszędzie. Nie ma go w Obserwatorium Westpenn.

— Lee, Martha i ja dorastaliśmy razem w pewnym mieście w zachodniej Pensylwanii — powiedział Wales. — Castletown.

— Wiem, przeczesaliśmy całą okolicę. Nic.

— Niemniej jednak zacznę tam — postanowił Wales.

Fairlie powiedział mu:

— Wiesz, że tam wszędzie są terytoria ewakuowane. Oficjalnie zamknięte i puste. Co oznacza – niebezpieczne.

Wales popatrzył na niego.

— W takim razie będę potrzebował czegoś innego do ubrania niż ten mundur. Chciałbym też dostać jakiś samochód i broń.

Było już późne popołudnie, kiedy Wales wyjechał samochodem z obszaru metropolitalnego, wydostając się z zatłoczonych tras ewakuacyjnych. A kiedy przekroczył w Stroudsburgu rzekę Delaware i wspiął się na zachód przez góry Poconos, nadszedł już łagodny wiosenny zmierzch.

Drogi, miasta były puste. Tu i ówdzie w wioskach widział zrujnowane sklepy, powybijane drzwi i okna – ale żadnych ludzi.

Gdy ciemność nadciągała, za jego pleców wciąż rozbrzmiewał powtarzający się raz po raz huk grzmotów, niekończącego się szeregu statków Windy na Marsa, wznoszących się w niebo na kolumnach ognia.

Korzystając z ostatnich resztek światła, daleko za Stroudsburgiem, obejrzał się za siebie i wydawało mu się, że na szczycie wzgórza zobaczył inny samochód, szybko zjeżdżający w rozciągający się za nim cień.

Wales poczuł dziwny dreszcz. Był śledzony? Jeśli tak, to przez kogo? Przez przypadkowych szabrowników, czy przez tych, którzy zamierzali pokrzyżować jego misję? Przez Bractwo Pokuty?

Jechał dalej, często oglądając się za siebie, i znów wydało mu się, że daleko z tyłu na autostradzie dostrzegł czarny, poruszający się obiekt, z wygaszonymi światłami.

Tej nocy widział tylko jednego człowieka, na moście w Berwick. Mężczyzna opierał się o barierkę, w ręku trzymał butelkę i był mocno pijany.

Zwrócił obłąkaną bladą twarz do reflektorów Walesa, potrząsnął butelką i krzyknął coś ochryple. Dało się rozpoznać tylko słowa „...Świat Kendricka...”.

Wales, z ciężkim sercem, przejechał obok niego i ruszył dalej.

ROZDZIAŁ III

Przez całą noc jego samochód toczył się po nieoświetlonej, pustej Ziemi. Nie ufając głównym trasom, jechał pomniejszymi drogami. Każda wioska, każde miasteczko, każda farma w dolinie czy na wzgórzu, były ciemne i ciche.

Cały ten obszar, obejmujący Pensylwanię, został ewakuowany dwa lata temu, a mieszkańcy tych domów żyli teraz nowym życiem w rozrastających się miastach na innej planecie.

Wales dwukrotnie zatrzymywał samochód, wyłączał silnik i światła, i czekał nasłuchując. Raz był niemal pewien, że usłyszał odległe buczenie, z daleka na drodze, ale ucichło, i choć czekał z bronią w ręku, nikt się nie pojawił. Za każdym razem jechał więc dalej, ale nie mógł wyzbyć się przekonania, że ktoś go potajemnie śledzi.

Z nadejściem poranka nastrój nieco się mu poprawił. Znajdował się zaledwie godzinę jazdy od starej linii Pensylwania-Ohio, gdzie znajdowało się miasto Castletown. I tam, jeśli gdziekolwiek, musi znaleźć trop Lee i Marthy Kendricków.

Dla świata Kendrick identyfikowany był z asteroidą, która zbliżała się coraz bardziej do swojego fatalnego miejsca na orbicie. Od początku nazywano ją Światem Kendricka. Kendrick, bardziej niż ktokolwiek inny, mógłby przekonać tych, którzy zaczęli wątpić w Dzień Zagłady. Gdyby udało się odnaleźć Kendricka...

Dziesięć minut później Wales jadąc krętą drogą po zboczu wzgórza do miasta Butler, wpadł prosto na barykadę.

W chwili, gdy zobaczył samochody, ustawione tak by blokowały drogę, próbował szybko zawrócić. Ale nie był wystarczająco szybki.

Jakiś głos powiedział:
— Wyłącz silnik i wysiadaj.
Z zarośli, które w ciągu dwóch lat wyrosły obok drogi, wyłonili się ludzie. Byli to nieogoleni mężczyźni w brudnych dżinsach, z karabinami w ręku. Po jednej stronie drogi stało dwóch, a po drugiej jeszcze jeden, starszy.
Wales popatrzył na ich brudne twarze. Potem wyłączył silnik i wysiadł z samochodu.
Zabrali mu broń, a starszy mężczyzna powiedział:
— Możesz teraz opuścić ręce. Chodź z nami.
— Gdzie?
— Zobaczysz.
Jeden z ludzi pozostał, aby przeszukać samochód Walesa. Pozostali dwaj, z karabinami gotowymi do strzału, schodzili obok Walesa długą, krętą górską drogą, w kierunku starego miasteczka.
— Myślałem, że te wszystkie miasta zostały ewakuowane — zagaił rozmowę Wales.
— Zostały, dawno temu — odparł starszy mężczyzna.
— Ale, wy…
— My nie jesteśmy stąd. Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej, zapytaj Sama Lantermana. Będzie miał do ciebie kilka pytań.
Główna ulica miasta wyglądała w oczach Walesa, jak cygański obóz. Wzdłuż niej zaparkowanych było pełno zakurzonych samochodów, a wszędzie dookoła kręciło się zaskakująco dużo mężczyzn, kobiet i dzieci. Wszyscy mężczyźni mieli przy sobie karabiny lub pasy z pistoletami. Dzieci kręciły się po już wcześniej splądrowanych sklepach, a większość kobiet patrzyła pustym, zmęczonym wzrokiem na Walesa i jego strażników.
Zabrali go do kamiennego gmachu sądu. W sali sądowej, słabo oświetlonej i pachnącej kurzem oraz starym dębowym drewnem, wokół czegoś, co kiedyś było stołem prezydialnym, siedziało czterech ludzi. Jeden z porywaczy Walesa przemówił do człowieka u szczytu stołu.
— Mamy więźnia, Sam — oznajmił z naciskiem. — To ten facet. Jechał ze wschodu.
— Przyjechał ze Wschodu? — zapytał Lanterman. — No cóż, mógł po prostu przyjechać z południa i objechać miasto, nieprawda?
Popatrzył bacznie na Walesa. Był to czterdziestoletni mężczyzna, z czerwoną twarzą i lekko wyłupiastymi niebieskimi oczami, które miały w sobie ślad zaciętości. Pozostali siedzący przy stole, to dwaj krzepcy ludzie, którzy wyglądali na farmerów, i niski, ciemnowłosy, złośliwie wyglądający młody człowiek.
— Nie było tak czasami — zapytał Lanterman – że po prostu przyjechałeś z Pittsburgha, co?
Wydawało się, że wszyscy przyglądają się mu z wyraźnym napięciem, w oczekiwaniu na odpowiedź.
Wales pokręcił głową.
— Przyjechałem ze wschodu, przez cały stan.
— A dokąd zmierzałeś?

Walesowi nie podobały się implikacje tego czasu przeszłego. Wyjaśnił:

— Do Castletown. Szukam swojej dziewczyny. Tam mieszkała.

— Ludzie z Castletown odlecieli już dwa lata temu — powiedział szybko Lanterman. — Na Marsa, cholerni głupcy! — I nagle wybuchnął śmiechem.

Coraz bardziej zaniepokojony Wales powiedział:

— Napisała mi, że nie zamierza lecieć, dopóki ja nie wrócę.

— Chyba nie jesteś jednym z tych urzędników ewakuacyjnych, co? — spytał sprytnie Lanterman.

— Dużo bardziej prawdopodobne, że przyjechał z Pittsburgha — stwierdził ciemnowłosy młodzieniec.

Wales, wyczuwając rosnące podejrzenia i zagrożenie, pomyślał że najbezpieczniejszym zagraniem będzie szczere oburzenie. Oznajmił głośno,

— Słuchajcie, nie wiem jakim prawem chcecie mnie zatrzymywać, kiedy próbuję dotrzeć do mojej dziewczyny! Nie jestem urzędnikiem Ewakuacji i nie wiem, co znaczy ta cała gadanina o Pittsburghu. Kto wam dał prawo żeby się tutaj rządzić?

— Synu — odparł łagodnie Lanterman — nie ma już żadnego prawa. Prawo odeszło stąd, kiedy odeszli wszyscy ludzie – wszyscy z wyjątkiem nielicznych, którzy nie dali się wygnać z Ziemi przez te wszystkie szalone naukowe brednie.

Wales zareagował, jakby sam miał wątpliwości:

— W takim razie nie zgadzacie się z tym, że naprawdę nadejdzie dzień zagłady, tak jak mówią?

— A ty, jak myślisz?

Wales udał zakłopotanie.

— Nie wiem. Wszyscy wielcy ludzie, z rządu i cała reszta, powtarzali nam w kółko w tivi o tym, jak Świat Kendricka uderzy w Ziemię.

— Kendrick i tak dalej — stwierdził z niesmakiem jeden z wyglądających na farmerów mężczyzn.

— Myślałem — powiedział Wales, — że zobaczę, czy moja dziewczyna ma zamiar lecieć, zanim zdecyduję.

Zastanawiał się, czy nie zagrał na tym głupim kłamstwie trochę za grubo. Ale od samego początku zdawał sobie sprawę z zagrożenia.

Wszystkie bandy nie-ewakuowanych, które pozostały na zamkniętym terenie, stanowiąc własne prawa, były niebezpieczne. Poznał tę prawdę na własnej skórze, w Morristown, zaledwie zeszłej nocy. A Lanterman i jego ludzie z jakiegoś powodu wydawali się szczególnie podejrzliwi.

— Posłuchaj — zaczął Lanterman, a potem zapytał: — Jak ty w ogóle się nazywasz?

— Jay Wilson – powiedział Wales. Jego nazwisko pojawiało się w wiadomościach i wolał nie ryzykować.

— A więc posłuchaj, Wilson — oznajmił Lanterman, — nie zawsze powinieneś wierzyć w to, co mówią ludzie. Pochodzę z Wirginii Zachodniej. Miałem tam farmę. W TV powiedziano nam, że ten Kendrick odkrył iż

Ziemia zostanie zniszczona, że wszyscy będą musieli lecieć na Marsa. Moja kobieta oznajmiła: „Sam, będziemy musieli polecieć". Powiedziałem: „Nie wpadaj w panikę. Ludzie zawsze przepowiadali koniec świata. Poczekajmy chwilę i zobaczymy". Wielu naszych sąsiadów spakowało się i opuściło Ziemię. Ludzie przychodzili i też nam mówili, że lepiej się wynosić. Powiedziałem im, ja nie spanikuję, spokojnie, chwilę poczekam.

Lanterman roześmiał się.

— I dobrze, że tak zrobiłem. Minął ponad rok, a świat się nie skończył. I wtedy okazało się, że ten Kendrick, który rozpętał całą tę panikę – nie opuścił Ziemi. On nie miał takiego zamiaru! Namówił wszystkich tych głupców, by na jego żądanie wyruszyli na Marsa, ale on sam nie był aż tak głupi, żeby polecieć. Faktem jest, jak mówią ludzie, że się ukrywa, więc urzędnicy Ewakuacji nie mogą go zmusić do wyjazdu. No cóż, skoro sam Kendrick nie leci; ten który to wszystko przepowiedział, dlaczego mielibyśmy lecieć my?

I to, jak pomyślał z rozpaczą Wales, było sedno problemu. Gdzie właściwie był Lee Kendrick? Musiał wiedzieć, że jego pozostanie na Ziemi zostanie fatalnie źle odebrane przez tego rodzaju ludzi.

Lanterman dodał z pewnym samozadowoleniem:

— Wszyscy głupcy odlecieli i zostawili swoje domy, samochody, miasta. Zostawili je tym z nas, którzy nie są głupcami! To dlatego zebraliśmy się razem. Pomyśleliśmy, że równie dobrze możemy sobie wziąć to, co oni pozostawili. Mamy razem prawie stu ludzi, i powiedziałem im: „Chłopcy, przestańmy przebierać w tych pustych wioskach i zdobądźmy jakieś naprawdę bogate miasto. Jedźmy do Pittsburgha.

Jeden z farmerów rzucił ponuro:

— Tyle że ten Bauder pierwszy wpadł na ten pomysł. Jak się przekonaliśmy, jego banda zajęła Pittsburgh.

Oczy Lantermana błysnęły.

— Ale go nie utrzymają! Od czasu kiedy spróbowaliśmy po raz pierwszy, mamy o wiele więcej ludzi. Co parę dni dołącza do nas jeden lub dwóch. Tym razem pokażemy ludziom Baudera!

Nagle Walesa uderzyła dziwaczność tej sceny. Kilka lat wcześniej ten cichy, stary gmach sądu był centrum ruchliwego, pełnego ludzi miasta, hrabstwa, narodu, planety.

Teraz planeta i naród zostały pozbawione większości swych obywateli. Ziemia niemalże wyludniona spoczywała spokojnie, czekając na nadchodzącą zagładę z kosmosu. Jednak ludzie, którzy nie wierzyli w tę zagładę, ludzie w małych grupach, wraz ze zniknięciem jakiegokolwiek prawa, zaczęli walczyć o posiadanie wielkich, ewakuowanych miast.

Lanterman wstał.

— No i co ty na to, Wilson? Chcesz do nas dołączyć i przegnać Baudera z Pittsburgha? Człowieku, tam czeka wspaniała zdobycz – alkohol, samochody, jedzenie, wszystko!

Wales zdawał sobie sprawę z tego, że tak naprawdę nie ma wyboru, i chociaż stanowiło to irytującą przerwę w poszukiwaniach Kendricka, musi udawać, iż przyłącza się do nich. Pomyślał jednak, że lepiej będzie nie zgadzać się zbyt łatwo.

— Co do Pittsburgha, to nic mnie on nie obchodzi — oznajmił. — Ja chcę dostać się do Castletown – i do mojej dziewczyny.

— Ho, ho — odparł Lanterman. — Powiem ci tak. Dołączysz do nas, to oddam ci Castletown na własność. Oczywiście nadal pozostanę szefem całego regionu.

Wales podjął kolejną próbę zdobycia jakichś informacji.

— Słyszałem coś o Bractwie Pokuty — powiedział. — Czy wy jesteście w tej grupie?

Lanterman zaklął.

— Ta banda jest szalona. Oni kompletnie stracili rozum. Do diabła, nie, nie jesteśmy Pokutnikami.

Wales powiedział powoli:

— Wygląda na to, że jeśli ja i moja dziewczyna postanowimy zostać, to lepiej będzie, jeśli znajdziemy się w twojej grupie. Jasne, dołączę do was.

Lanterman klepnął go w plecy.

— Nie pożałujesz tego, Wilson. Mam parę wielkich planów. Ci, którzy ze mną trzymają, będą mieli swój udział we wszystkim. Pittsburgh to dopiero początek.

Dodał dobitnie:

— Przyłączasz się w szczęśliwej chwili. Ponieważ dzisiejszej nocy zdobędziemy Pittsburgh.

Młody, ciemnowłosy mężczyzna warknął:

— Jeśli on jest szpiegiem, to mówisz mu…

— Jesteś za bardzo podejrzliwy, Harry — stwierdził Lanterman. — On nie jest szpiegiem. Po prostu tu przyjechał.

Spojrzał na ciemnowłosego młodzieńca.

— No dobrze, Harry, weź teraz swoją grupę. Ale pamiętaj, żeby nie zaczynać, dopóki nie usłyszysz naszego sygnału.

O zmierzchu, z głównej ulicy miasteczka wyruszyło w mrok dziesięć samochodów, w których znajdowało się kilkudziesięciu ludzi. Harry siedział w pierwszym samochodzie, skierowali się na południe.

Lanterman potem powiedział pozostałym:

— Reszta z nas lepiej też niech już rusza, wszyscy oprócz pozostających do pilnowania kobiet i dzieci. Trzymaj się blisko mnie, Wilson.

Wzdłuż całej ulicy zaryczały silniki. Lanterman z wielkim impetem załadował się do długiej czarnej limuzyny, Wales wsiadł razem z nim.

Samochód był pełen ludzi i karabinów, gdy jego kierowca, kościsty młodzieniec, nieustannie żujący tytoń, wyjechał na ulicę. Pozostałe samochody, prawie dwadzieścia, podążyły za nimi. Ale skierowali się na południowy wschód.

— Jedziemy trochę za bardzo na wschód — zaprotestował Wales. — Pittsburgh jest na południu.

Lanterman zachichotał.

— Nie martw się, Wilson. Dotrzemy do Pittsburgha przed końcem nocy.

Przez godzinę karawana samochodów, z wyłączonymi światłami, toczyła się w ciemnościach po cichych drogach i wsiach.

Zatrzymali się w małym miasteczku, którego Wales nie potrafił rozpoznać. Ale gdy zobaczył drewniane pomosty i szeroką, lśniącą czerń rzeki, zdał sobie sprawę, że to musi być jedno z pomniejszych miasteczek nieco w górę rzeki Allegheny od Pittsburgha.

Do pomostów przywiązanych było kilkanaście wielkich skiffów i pilnowała ich czwórka uzbrojonych mężczyzn. Nie było świateł, a ciemności wypełnione były cieniami ludzi i nieznanymi głosami.

— Weź kolbę tej swojej cholernej strzelby z moich żeber, dobrze?

Wales zdał sobie sprawę, że cała grupa przesiada się na łodzie. Wszedł za Lantermanem na jedną z nich. Lanterman oznajmił:

— Od tej chwili nie chcę najmniejszego hałasu. Ruszajmy.

Łodzie zostały odcumowane i wypłynęły na ciemną, szeroką rzekę. W bezksiężycową noc brzegi były tylko ciemniejszymi zarysami czerni. Prowadząca łódź Lantermana skręciła ku południowemu brzegowi, a potem trzymała się blisko niego, płynąc cicho w dół rzeki.

Od czasu do czasu słuchać było skrzypienie wioseł, głosy żab wzdłuż brzegu — były to jedyne dźwięki. Głęboka letnia, zgniła woń rzeki, przyniosła Walesowi potężną falę nostalgii.

Nie sposób było pomyśleć, że to wszystko musi się wkrótce skończyć!

Nadal panowały kompletne ciemności, gdy płynęli w dół rzeki. Wkroczyli do niegdyś najbardziej ruchliwego przemysłowego regionu świata, ale teraz był on opustoszały, czarny i cichy.

Wales odważył się wyszeptać:

— Dlaczego w ten sposób, zamiast skorzystać z mostu?

Lanterman prychnął.

— Spodziewają się, że skorzystamy z mostów. Poczekaj, a zobaczysz. — Chwilę później zawołał. — Przestać wiosłować. Płyniemy z prądem. I bez hałasu!

Dryfowali w ciszy wzdłuż brzegu. Nad nimi zamajaczyła jakaś ogromna konstrukcja. Wales pomyślał, że to musi być stary most na Chestnut Street.

Drgnął z zaskoczenia, gdy siedzący obok niego Lanterman nagle zahuczał. Była to całkiem niezła imitacja hukania sowy, dwukrotnie powtórzona.

Chwilę później, od strony północnego, dalszego końca wielkiego mostu, ciszę przerwały strzały z karabinów. Wybuchło tam nagłe zamieszanie, strzelanina i krzyki.

Lanterman zachichotał.

— Harry dotarł dokładnie na czas. Zrobi wystarczająco dużo hałasu, by ściągnąć tam całą ich grupę.

Po chwili rozległ się warkot silników. Samochody bez świateł, w dużej liczbie, popędziły biegnącą wzdłuż rzeki drogą, prowadzącą z centrum Pittsburgha. Przemknęły przez most udając się w kierunku odległego zgiełku strzelaniny.

— Chwycili przynętę — oznajmił Lanterman. Wydał rozkazy, szybko i gwałtownie. — Allerman, ty i Jim zacumujcie tutaj swoje łodzie. Zablokujcie mosty, żeby nie mogli szybko wrócić.

Ludzie z dwóch wskazanych łodzi rzucili się w stronę mrocznego brzegu. A reszta, z łodzią Lantermana na czele, popłynęła na wiosłach wzdłuż Riverside.

Wkrótce Wales zaczął dostrzegać światła – kilka przyćmionych, rozproszonych rozbłysków. Wstrząśnięty zobaczył na tle gwiazd kształty wielkich, czarnych wieżowców i zdał sobie sprawę, że to drapacze chmur w centrum Pittsburgha.

Łodzie podpłynęły bliżej brzegu, uderzyły o niego dziobami i zatrzymały się. Ludzie wyskoczyli na brukowane nabrzeże, wznoszące się znad rzeki.

Zabrzmiał mocny głos Lantermana.

— Złapaliśmy ich ze spuszczonymi gaciami, większość ich ludzi goni Harry'ego, po drugiej stronie rzeki! Idziemy! Ale pamiętajcie – nie strzelać do nikogo, kto nie będzie próbował walczyć. Większość z nich później do nas dołączy.

Ciemne postacie ludzi, z lufami strzelb lśniącymi w świetle gwiazd, w pośpiechu wdrapywały się w górę nabrzeża. Gdzieś z przodu, jakiś głos krzyknął na alarm.

Wales idący za Lantermanem czuł się, bardziej niż kiedykolwiek w życiu, jak w koszmarze. Ci ludzie, z ignorancji nie ufający niczemu, walczyli o puste miasto, na planecie, która zmierzała ku swej zagładzie – poczuł się jak w strasznym śnie, z którego nie potrafił się obudzić.

ROZDZIAŁ IV

Pobiegli naprzód i nagle znaleźli się w wąskiej uliczce, wśród wysokich, starych budynków biurowych. Było tam kompletnie ciemno, ludzie potykali się i potrącali nawzajem, a wkrótce usłyszeli przed sobą wycie syreny alarmowej.

Wales kompletnie nie miał ochoty aby dać się wplątać w tę bezsensowną walkę o puste miasto. Ale Lanterman był tuż przed nim, a wszędzie dookoła znajdowali się jego ludzie, nie odważył się więc podjąć próby wymknięcia się. Niektórzy z nich z pewnością go obserwowali.

Wypadli na szerszą ulicę. Kilka przecznic dalej, wzdłuż tej szerszej alei, nagle zapalił się reflektor, oświetlając witryny sklepowe i fronty budynków na odległość ćwierci mili i na wpół oślepiając ciemne postaci biegnących ludzi Lantermana. Zza reflektora natychmiast zahuczały strzały. Kule

jęczały i rykoszetowały od kamiennych murów, rozległ się dźwięczny brzęk rozbijanego szkła.

— Wracać tutaj! — wrzasnął Lanterman, a jego ludzie schronili się z powrotem w ciemnym schronieniu węższej ulicy.

Jeden z nich trzymał się za ramię i szlochał:

— Niech ich cholera, trafili mnie…

Wales przywarłszy do kamiennej fasady budynku, wyjrzał na niesamowicie jasną przestrzeń przed nimi i rozpoznał ją jako Liberty Avenue. Zobaczył, że nienagannie ubrane manekiny w oknie wystawowym po drugiej stronie alei, spoglądały, jakby z rozszerzonymi ze zdumienia oczyma, na to co się dzieje.

Lanterman nie zwracał uwagi na rannego człowieka.

— Są w tym wielkim hotelu niedaleko Urzędu Pocztowego — powiedział szybko. — Nie może ich tu być zbyt wielu, ale musimy szybko ich dopaść, zanim pozostali usłyszą walkę i zaczną wracać.

Polecił jednemu z ludzi wyglądających na farmerów:

— Ty, Milton, weź kilkunastu ludzi i idź na tyły tego hotelu. Reszta z nas zajmie się nim, od frontu.

Wales pomyślał, że chociaż może pod pewnymi względami ciemny jak tabaka w rogu, Lanterman był jednak urodzonym liderem. Nic dziwnego, że ci dezorientowani i pogrążeni w wątpliwościach ludzie, poszli za tym człowiekiem o czerwonej twarzy.

Dwóch ludzi z karabinami Venna, pobiegło do budynku na rogu Liberty. Minutę później, nagle zaczęli strzelać z okna na trzecim piętrze. Reflektor zgasł.

— Idziemy! — wrzasnął Lanterman. Wylali się na szeroką aleję i pobiegli wzdłuż niej, trzymając się chodników, po obu stronach.

Nagle z przodu rozległa się seria strzałów, która brzmiała jak przytłumiona i odległa. Potem zapadła cisza. Dotarli już prawie do dużego hotelu.

— Wstrzymaj się, Sam! — z ciemnego budynku dobiegł krzyk Miltona. — Wszystko już załatwione.

Zaczęły zapalać się latarki, jak budzące się świetliki. Z wnętrza hotelu dolatywały krzyki kobiet. Wyszła z niego grupa mężczyzn, z uniesionymi rękoma.

Jednym z nich był krzepki mężczyzna o zmierzwionych włosach, który zaczął przeklinać Lantermana, gdy go zobaczył.

— Zastrzeliłeś dwóch moich ludzi, ty…

— A teraz uspokój się, Bauder — rzucił Lanterman. W blasku latarek jego twarz była spocona i rozradowana. — Nie ma powodów do dalszej walki. W ogóle by nie było, gdyby cię tak nie roznosiło, kiedy przybyliśmy tu po raz pierwszy. Pittsburgh jest wystarczająco duży dla nas wszystkich — dopóki będziesz pamiętać, że to ja jestem szefem.

Zwrócił się do swoich ludzi.

— Połowa z was niech wraca na te mosty, powiedzcie im, że mamy Baudera i że Pittsburgh jest nasz. Poddadzą się. Poprowadź ich, Milton.

Wykrzykując triumfalnie, ludzie ruszyli za Miltonem w jedną z ciemnych bocznych uliczek prowadzących w stronę rzeki.

Wales ruszył wraz z nimi. Na wpół się spodziewał, że Lanterman go odwoła, ale przywódca był za bardzo zajęty swoją chwilą zwycięstwa, by pamiętać o podejrzeniach sprzed kilku godzin.

Wales wiedział, że prawdopodobnie jest to najlepsza szansa na ucieczkę z tej bandy. Stopniowo znalazł się za resztą ludzi Miltona, gdy biegli Dziewiątą Ulicą. Potem, mijając wylot alei, wskoczył do niej i pobiegł samotnie w ciemności, kierując się na południe do Szóstej.

Wales wyciągał nogi zmierzając w stronę nabrzeża. Mosty były dla niego zamknięte, i jedyną szansą ucieczki były łodzie. Upewnił się czy w jednej z nich są wiosła, a potem wypchnął ją na ciemną rzekę.

Od północy, z mostu, dobiegały odgłosy strzałów. Ale w miarę jak Wales płynął, strzały ucichły.

Domyślał się, że walka się skończyła i że Sam Lanterman został panem Pittsburgha.

Kiedy Wales w końcu stanął na ciemnym północnym brzegu rzeki i obejrzał się za siebie, zobaczył rozproszone migoczące światełka poruszające się pośród wysokich czarnych budowli, które niegdyś tworzyły miasto.

Nagle stwierdził, że drży z nerwów i rozpaczy.

— Czy ktokolwiek – lub cokolwiek – jest w stanie uratować takich ludzi?

Walesowi nagle wszystko wydało się beznadziejne – cała ta misja, z którą wrócił na Ziemię. Beznadziejna zdawała się w ogóle myśl, że ciemnych, krótkowzrocznych, pełnych strachu ludzi, można na czas nakłonić do opuszczenia Ziemi.

Popatrzył na usiane gwiazdami niebo. Tam, w pustce kosmosu, potężna asteroida, oznaczająca koniec planety, poruszała się po orbicie, która za cztery miesiące miała zakończyć się planetarną kolizją. Nie można było jednak jej dostrzec. I to był problem. Ludzie tacy, jak ci tutaj, pod wpływem czyjejś potajemnej propagandy, nie chcieli w to wierzyć, dopóki Świat Kendricka nie rozjarzy się groźnym blaskiem na niebie. A wtedy będzie już za późno

Wales odwrócił się i ruszył ulicą od rzeki. Ma swoją misję i musi ją wykonać. Nie tylko ze względu na tych wszystkich ciemnych ignorantów, którzy mogą zostać uwięzieni na skazanej na zagładę planecie, ale także ze względu na swoich przyjaciół. Coś się stało Lee i Marthcie Kendrickom i musiał ich odnaleźć.

Przeszedł przez dzielnicę Northside, aż za starym planetarium znalazł duży garaż. Było w nim pełno samochodów. W dziesięć minut później, Wales jechał już na północ.

Nie włączył świateł i w związku z tym ograniczył prędkość. Często oglądał się za siebie. Teraz nikt go już nie śledził.

— Ktokolwiek za mną jechał — pomyślał — przez jakiś czas będzie myślał, że jestem ciągle z Lantermanem.

Ponownie zastanawiał się, kim byli jego tajemniczy prześladowcy. Nie próbowali go wyprzedzić. Po prostu jechali za nim. Czy to był ktoś, kto również chciał odnaleźć Kendricka? I z jakiego powodu?

Pomyślał o Bractwie Pokuty, które wciąż było dla niego tylko nazwą, i poczuł dreszcz trwogi.

Do Castletown miał pięćdziesiąt mil, a nie odważył się jechać zbyt szybko, żeby bez świateł nie wpaść nagle na jakąś przeszkodę na drodze. Ale po pewnym czasie wzszedł księżyc i Wales był w stanie rozpędzić samochód nieco szybciej.

Wiejskie tereny spały w świetle księżyca. Tylko w miasteczkach straszna pustka świata zwalała człowieka z nóg. Tu, pośród pól i wzgórz, wszystko wyglądało tak jak zawsze, i naprawdę wydawało się obłąkanym szaleństwem, że ludzie opuścili swoją planetę. Nic dziwnego, że niektórzy z nich tego odmawiali.

Wszystko co widział, jak sobie myślał Wales, ściskało mu serce poczuciem daremności. Ten mały biały domek, z płotem z drewnianych sztachet, obok którego tak szybko przemknął — ktoś ciężko pracował, żeby zbudować ten płot, posadzić kwiaty, dopieścić zielone trawniki. I to wszystko na nic, mały dom, potężne miasta, cała troska, trud i planowanie wielu stuleci, na nic…

Nie mógł sobie pozwolić na popadnięcie w taki stan umysłu. To wszystko nie było na darmo. Dzięki temu wszystkiemu, człowiek zdobył dla siebie wiedzę, która teraz go ratowała. Miasta, które obecnie wydawały się takie daremne, stworzyły floty rakietowe, przez lata przewożące miliony ludzi na Marsa. Zbudowali tam elektrownie atomowe, wspaniałe elektroniczne syntezatory żywności i wody, które umożliwiły przeżycie na Marsie wszystkim mieszkańcom Ziemi. Nie, przeszłość ludzkości nie była porażką, lecz sukcesem.

Nagle, rozmyślania Walesa legły w gruzach, gdy wjechał do miasteczka Brighton Falls.

Miasteczka nie było.

Zatrzymał się zaskoczony. W świetle księżyca wokół niego rozciągały się poczerniałe zgliszcza, kilka zrujnowanych ścian wciąż stało, ale reszta zmieniła się w bezkształtną masę poczerniałych szczątków.

Wales po chwili otrząsnął się z pierwszego szoku. „Piorun mógł łatwo zaprószyć ogień — pomyślał. — A ponieważ nie było nikogo, kto mógłby go ugasić…

Wydawało się to logiczne. Mimo to nadal był wstrząśnięty, gdy pospiesznie wyjeżdżał spośród poczerniałych ruin.

W miarę jak księżyc wznosił się na niebie, jechał coraz szybciej. Castletown było już bardzo blisko. Wkrótce dowie się, czy przebył całą tę drogę na nic.

W tym starym mieście Wales dorastał razem z Lee i Marthą Kendrickami. Tutaj byli szkolnymi kolegami w Westpenn College. Lee, robiąc karierę w astronomii, został tu, w małym, ale znanym obserwatorium Westpenn, aby w końcu dokonać astronomicznego odkrycia zbliżającego się Dnia Zagłady. Wales wiedział, że Martha została razem z nim, utrzymując dla niego stary dom Kendricków.

Wiedział też, że Kendrickowie zostali tutaj, nawet po ewakuacji całego regionu. A potem zniknęli.

Fairlie mówił, że jego ludzie szukali ich tutaj i nie znaleźli. Ale Wales uchwycił się przekonania, że jego poszukiwania muszą rozpocząć się w tym miejscu.

CASTLETOWN
Dobre miejsce do życia

Znak na skraju miasta, obecnie o niezamierzenie ironicznej wymowie, pozostał za nim. „Pokonałem stąd daleką drogę”, pomyślał Wales, „do szkoły Służby Rakietowej na zachodzie i jeszcze dalej na Marsa, a mimo to po tylu latach jestem tu z powrotem.”

Tutaj stał dom jego dzieciństwa, ale teraz nie było żadnego powodu, żeby go odwiedzać. Cieszył się, że nie ma takiego powodu, cieszył się, że jego rodzice zmarli przed nadejściem informacji o Dniu Zagłady.

Zjechał z autostrady. Kampus Westpenn College położony był na wzgórzach, na wschód od Castletown. Budynki były ciemne i ciche. Na najwyższym wzniesieniu ku gwiazdom sięgała Kopuła Obserwatorium. Tam też nie było widać żadnych świateł.

Wales przejechał obok kampusu do dużego, kwadratowego, staromodnego domu Kendricków. Był ciemny i cichy jak wszystko inne. Zatrzymał samochód, upewnił się, że ma w kieszeni kurtki pistolet, i wszedł po schodkach.

Po tylu latach czuł się jak duch powracający do martwego miasta, do martwego świata. Zniecierpliwiony prześladującymi go fantazjami pchnął frontowe drzwi, które cicho otworzyły się do środka.

W środku Wales poświecił latarką w przedpokoju. Potem zaczął przechodzić przez pokoje.

Ponad godzinę później, znalazł się z powrotem w holu, rozczarowany i zbity z tropu. Nie znalazł w domu nikogo, a także żadnych oznak tego, by Lee lub Martha byli tutaj w ostatnim czasie.

Kiedy stał, zaniepokojony i sfrustrowany, Wales nagle zauważył plamę czerwieni na wewnętrznej stronie pomalowanych na biało drzwi wejściowych.

Poświecił po niej latarką. Jedno słowo wypisane na drzwiach szminką, kobiecą dłonią. „Zamek.” Nic więcej.

Myśli Walesa zawirowały. Otworzył drzwi i szybko poszedł do samochodu. Po chwili jechał przez śródmieście, z nagłą nadzieją w sercu.

„Zamek.” W taki właśnie sposób, kiedy jeszcze byli dziećmi, nazywali starą posiadłość na szczycie wzgórza, należącą do starej ciotecznej babki Kendricków. Nazwali ją tak ze względu na drewnianą wieżę z 1900 roku zwieńczoną krenelażem, która ich zafascynowała.

Nagle, tłumiąc jego uniesienie, do Walesa dotarła świadomość, że Martha czegoś się obawiała, wypisując tę wiadomość.

Obawiała się pozostawienia bardziej konkretnej wskazówki, niż taka, którą tylko kilka osób byłoby w stanie zrozumieć.

„Ale przecież nie zostawiła jej dla mnie” — pomyślał z zastanowieniem Wales. — „Zgodnie z jej wiedzą, wciąż jestem na Marsie. Ale w takim razie, dla kogo?”

Zaczął się martwić bardziej niż przedtem. Znalazł wskazówkę dotyczącą Kendricka, wskazówkę, której agenci Fairliego nie byli w stanie zrozumieć, ale jej ostrożny i niejasny charakter sprawiał, że zniknięcie przyjaciół nagle stawało się jeszcze bardziej złowieszcze.

Wales jechał szybko dobrze mu znanymi, starymi ulicami rodzinnego miasta. Kiedy wykręcał wokół centralnego placu nazywanego Diamentem, zauważył, że na oknie jednego ze sklepów wypisano kredą zuchowaty napis: „Zamknięte z powodu Dnia Zagłady”.

Skręcił w prawo, w North Jefferson Street, a potem wjechał na strome wzgórze, które było najwyższym punktem Castletown. Kiedy zaparkował przed starą, drewnianą, monstrualną posiadłością, był podekscytowany nadzieją.

Tutaj też wszystko było ciemne. Jego nadzieje nieco opadły, gdy szedł wysadzanym drzewami chodnikiem. Pomimo wszystko jednak, ludzie by uważali, aby nie było widać światła…

Coś eksplodowało z tyłu głowy Walesa i jego twarz mocno uderzyła o ziemię.

ROZDZIAŁ V

Wales odzyskał zamgloną świadomość, by zdać sobie sprawę, że ktoś koło niego szlocha.

Czuł, że musi wstać. Musiał coś zrobić. Miał bardzo mało czasu, koniec Ziemi zbliżał się wielkimi krokami, a był ktoś kogo musi odnaleźć. Musi się ruszyć, wstać…

— Jay – odezwał się gdzieś jakiś głos. — To ja. Ja! Martha.

Wales otworzył oczy i zobaczył nachyloną nad sobą ciemną postać. Niemrawo zaczął wymachiwać rękoma, próbując ją odepchnąć, próbując wstać i walczyć.

— Jay!

Nagle pojawił się nad nim snop światła latarki, niemalże go oślepiając. Potem, wzrok zaczął mu się poprawiać i zobaczył, że światło nie było skierowane na jego twarz, lecz na twarz, która pochylała się nad nim.

Twarz dziewczyny, zupełnie znajoma, obramowana ciemnymi włosami, po której spływały łzy. Twarz Marthy Kendrick.

Światło zgasło i znów ogarnęła ich ciemność.

Wales odkrył, że leży na wilgotnej trawie, z jedną ręką na betonowym chodniku. Zobaczył drzewa i na tle gwiazd duży drewniany dom z wieżą z blankami.

— Martha — mruknął. – A więc byłaś tutaj. Ale tu jest ktoś jeszcze… ktoś kto mnie uderzył…

Jej głos zabrzmiał niepewnie.

— To byłam ja, Jay. Ja… ja mogłam cię zabić…

Kompletnie nic nie rozumiał. Ale kiedy jego mózg zaczął się nieco przeczyszczać, uświadomił sobie pulsujący ból głowy.

Usiadł. Martha obejmowała go ramieniem, ale wydawało się, że bardziej się go przytrzymuje, niż wspiera. Znowu szlochała.

— Skąd miałam wiedzieć? — mówiła. — Nawet nie wiedziałam, że jesteś na Ziemi. Kiedy podjechał twój samochód, kiedy wyszedłeś z niego po ciemku, wiedziałam, że to nie Lee. Nie jesteś taki wysoki. Myślałam, że to jeden z nich. Nie śmiałam strzelać, więc użyłam kolby pistoletu, żeby cię uderzyć…

Chwycił ją za ramię.

— Martho, gdzie jest Lee?

— Nie wiem, Jay. Czekam tu na niego, mając nadzieję, że przybędzie. Sama prawie oszalałam. I bałam się…

Wales zauważył, że jest bliska histerii. A jej strach wiele mu mówił.

Niepewnie podniósł się na nogi.

— Lepiej chodźmy do środka. Gdzieś, gdzie będziemy mogli porozmawiać i zapalić światło, tak by nikt go nie widział.

Jego głowa wydawała mu się wielka jak dynia, ale udało mu się pokonać schody starej rezydencji. W ciemnym wnętrzu domu usłyszał jak Martha rygluje drzwi i zamyka je na łańcuch. Potem jej dłoń chwyciła go za nadgarstek.

— Tędy. Mam zaciemnione jedno pomieszczenie – kuchnię.

Pozwolił by poprowadziła go przez ciemność, usłyszał, jak zamyka kolejne drzwi. Potem znów zapaliła się latarka, oświetlając starą, wiejską kuchnię.

Popatrzył na nią. Martha Kendrick, jaką pamiętał, była małą, ciemnowłosą dziewczyną, o dosyć wybuchowym i zadziornym temperamencie. Teraz jej wojowniczość zniknęła. Wyglądała na bliską załamania, twarz miała śmiertelnie białą, ręce jej drżały.

Nalegała, żeby obłożyć mu głowę zimnymi mokrymi szmatami. Przytrzymując je ręką, czując jednocześnie ból i że trochę śmiesznie wygląda, Wales kazał jej usiąść koło siebie, przy kuchennym stole. Leżąca na stole latarka rzucała na ściany kanciaste cienie.

— Jak długo tu się ukrywasz, Martho?

— Pięć tygodni. Wydaje mi się, jakby minęło już pięć lat. — Jej usta zaczęły drżeć. — To wszystko było jak okropny sen. Ten stary dom, miasto, wszystko, co człowiek znał przez całe życie, opustoszałe i dziwne. Najcichsze odgłosy, które słyszy się w nocy, łuny na niebie od pożarów…

— Ale dlaczego się tu ukryłaś? Dlaczego nie zgłosiłaś się w Nowym Jorku do ewakuacji na Marsa, jak wszyscy inni?

Martha Kendrick wydawała się trochę odzyskiwać kontrolę nad sobą. Mówiła szczerze.

— Kiedy Castletown, podobnie jak reszta całego regionu, zostało ewakuowane dwa lata temu, Lee chciał tutaj zostać jeszcze przez pewien

czas. Każdej nocy pracował w obserwatorium, stale obserwując Nereusa. Wydaje mi się, że ciągle miał nadzieję, iż odkryje jakąś zmianę w jego orbicie, jakąś szansę. Ale… niczego nie znalazł. Od początku miał rację. Nereus ma uderzyć w Ziemię.

— Ale dlaczego ty też zostałaś? — dopytywał się Wales. Martha popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Ktoś musiał zaopiekować się Lee. Nie mogłam lecieć na Marsa, dopóki on też nie leciał. Po tym, jak wszyscy opuścili Castletown, czułam się samotnie. Lee mówił, że wkrótce sami też wyjedziemy. Ale potem – zmienił się. Zaczął bardzo się czymś martwić, był mocno wystraszony.

— Wszyscy się baliśmy — stwierdził ponuro Wales, ale ona pokręciła głową.

— To nie chodziło katastrofę. To nie Dnia Zagłady, Lee się bał. Chodziło o coś zupełnie innego. Powiedział, że boi się, iż nie wszyscy ludzie na Ziemi zdołają uciec. Mówił, że są tacy, którzy chcieliby aby jak najwięcej ludzi pozostało tutaj w pułapce, kiedy nadejdzie Dzień Zagłady!

Jej oszołamiająco szalone oświadczenie zelektryzowało Walesa. Chwycił ją za nadgarstek.

— Martho, Lee tak mówił? Czy powiedział ci kim oni są, to znaczy ci ludzie, którzy chcieli zmusić miliony innych, żeby tutaj zostali?

Znowu pokręciła głową.

— Nie mówił, kim oni są. Powiedział, że nie jest pewien, że to tylko podejrzenia. Ale bardzo go to zmartwiło. Pojechał nawet raz do Nowego Jorku, żeby zobaczyć się z Johnem Fairlie – regionalnym komendantem Ewakuacji.

Wales myślał intensywnie.

— Tak. Fairlie mówił mi, że on podejrzewa jakiś celowy, tajny spisek mający na celu nakłonienie milionów ludzi do pozostania na Ziemi, dopóki nie będzie za późno. Albo Fairlie wziął ten pomysł od Lee, albo Lee dostał go od niego... — przerwał, następnie zapytał: — Czy Lee kiedykolwiek wspominał o Bractwie Pokuty?

Martha skinęła głową.

— Och, tak, dość często. Obawialiśmy się ich, odkąd wszyscy opuścili Castletown.

Ponownie Wales poczuł zdumienie.

— Co wiesz o tym Bractwie, Martho?

Wydawała się być zaskoczona jego podekscytowaniem.

— No cóż, Jay, to są fanatycy, przesądny ruch, który rozpoczął się na długo przed ewakuacją. Ludzie, których umysły zostały wytrącone z równowagi, przez nadejście informacji o Dniu Zagłady. Modlili się tam na Diamencie, słyszałam ich. Straszliwe brednie o tym że Dzień Zagłady został zesłany na nas za nasze grzechy, że tylko pokuta i poświęcenie życia oraz majątku, może uratować świat. Potem, gdy ewakuacja tutaj w okolicy się zakończyła, całe Bractwo ukryło się w pustych wsiach, żeby nie musieli wyjeżdżać.

— Są tu teraz? — wykrzyknął.

Martha wzdrygnęła się.

— Nie tutaj. W ciągu ostatnich tygodni najbardziej obawiałam się, że spalą Castletown.

— Spalą Castletown? Dobry Boże, dlaczego?

Martha popatrzyła na niego.

— Jay, oni palą puste miasta, jedno po drugim. Ofiara. Pokuta. Obawiam się, że Sharon zostało spalone dwie noce temu – łuna na niebie wydawała się pochodzić stamtąd. I widziałam też inne łuny na południu

Wales z nagłym uczuciem chłodu przypomniał sobie poczerniałe pustkowie pozostałe po Brighton Falls. A więc, to nie był przypadek? Czyli to była celowe, rozmyślny czyn, ofiara…

Nagle zobaczył Ziemię taką, jaka naprawdę była. Prawie pusta planeta, staczająca się w objęcia szaleńczej anarchii. W Nowym Jorku, gdzie wciąż panowało prawo i porządek, gdzie można było widzieć, jak na niebie systematycznie przylatują i odlatują rakiety Windy na Marsa, wciąż wydawała się ona cywilizowanym światem. Ale tutaj, na tych czarnych, ślepych, ewakuowanych terenach, gdy prawo zniknęło i zostały uwolnione wszystkie najbardziej atawistyczne skłonności rasy ludzkiej, pogłębiał się chaos. Pełno było ignorantów i szaleńców, którzy odmówili odlotu, walczących o władzę nad opustoszałymi miastami lub podpalających wyludnione miasta w przesądnej ofierze…

Zapytał Marthę:

— Czy Lee uważał, że to Bractwo Pokuty stoi za spiskiem mającym na celu zmuszenie ludzi, żeby pozostali na Ziemi?

Wydawało się, że to ją zaskoczyło.

— On tego nie powiedział. Ale czy to mogliby być oni? Tacy szaleńcy…

— Tylko fanatyk mógłby zrobić tak straszną rzecz, jak uwięzienie ludzi w Dniu Zagłady — zauważył Wales. — Ale na razie zostawmy to. Chciałbym się dowiedzieć, co się stało z Lee.

Jej ciemne oczy ponownie wypełniły się łzami.

— Nie potrafię ci powiedzieć. To było tak. Każdej nocy Lee chodził do Obserwatorium. Ja zostawałam w naszym domu, ale miałam przenośne radio, on miał swoje, przez cały czas włączone, więc mogłam z nim rozmawiać w razie potrzeby. Ale pewnej nocy, pięć tygodni temu, to on połączył się ze mną. Krzyczał, ochrypłym głosem. Mówił: „Martho, włamują się tu ludzie – wydaje mi się, że wiedzą, iż przejrzałem ich plan – szybko wyjdź z domu! Jeśli uda mi się uciec, odnajdę cię…”

Jej twarz zrobiła się biała i pełna udręki, gdy opowiadała dalej.

— Jay, nie wiedziałam co robić. Trzeba było się ukryć, ale musiałam zostawić jakąś wiadomość dla Lee, tak by jeśli wróci, wiedział gdzie mnie szukać. Dlatego napisałam „Zamek” na drzwiach. Nikt poza nim, nie mógł wiedzieć, że mam na myśli ten stary dom. Wybiegłam i byłam zaledwie kilka przecznic dalej, kiedy usłyszałam koło naszego domu samochody i nawołujących się ludzi. Trzymałam się bocznych uliczek, w ciemnościach, i dotarłam tutaj. Ja… ja od tego czasu czekam tutaj na niego. Całe tygodnie. Wieczność. A… Lee nie pojawił się. Myślisz, że oni go zabili?

Wales dał jej szczerą odpowiedź.

— Nie wiem, Martho. Miejmy nadzieję, że nie. Spróbujemy go odnaleźć. A pierwsze pytanie brzmi: kto go porwał? Kim są ci „oni”?

Odpowiedziała wolniej:

— Miałam czas do namysłu. Dużo czasu. Kiedy Lee powiedział, „wydaje mi się, że wiedzą, iż przejrzałem ich plan”… Czy miał na myśli to swoje podejrzenie, że istnieje straszliwy spisek mający na celu uwięzienie wielu ludzi na Ziemi, do Dnia Zagłady? Czy oni zdali sobie sprawę, że ich podejrzewał, i dlatego go schwytali?

Wales powoli zacisnął pięść.

— To jedyna możliwa odpowiedź. Lee jakimś sposobem podejrzewał, kto stoi za tą tajną propagandą, która nakłaniała ludzi do pozostania na Ziemi. Schwytali go, żeby nie mógł tego powiedzieć.

Dodał nagle:

— I to służyłoby ich celom jeszcze w inny sposób! Umożliwiłoby im pokazanie, że Lee Kendrick nie opuścił Ziemi, a więc Świat Kendricka musi być mistyfikacją!

Wyraz bólu przemknął po bladej twarzy Marthy.

— Jay, nie nazywaj jej tak.

— Jak?

— Świat Kendricka. To niesprawiedliwe. Lee odkrył nową orbitę asteroidy i przekazał całej Ziemi ratujące życie ostrzeżenie. To niesprawiedliwe nadawać obiektowi, który sprowadzi Dzień Zagłady, jego nazwisko.

Wyciągnął rękę i uścisnął jej dłoń.

— Przepraszam, Martho. Masz rację. Ale nadal musimy sobie odpowiedzieć na to pytanie. Kim są „oni”, ci którzy schwytali Lee? Czy to Bractwo Pokuty? A może ktoś inny? Tylko kto inny mógłby mieć motyw?

Głowa nagle zakołysała się mu, jak u pijanego, i przetarł dłonią oczy. Martha wydała z siebie cichy okrzyk rozpaczy.

— Jay, wciąż jeszcze nie doszedłeś do siebie – po moim uderzeniu. Daj, zrobię ci świeży kompres.

Powstrzymał ją.

— Nie, Martho, nie o to chodzi. Po prostu jestem wykończony, śmiertelnie zmęczony. Odkąd dotarłem na Ziemię podczas tej misji, niemal cały czas coś się dzieje — a zeszłej nocy spałem tylko przez parę godzin, w samochodzie.

Ujęła go za nadgarstek.

— W takim razie chodź spać. Ja będę czuwać. Tędy – muszę zgasić światło, kiedy wyjdziemy z kuchni…

Wales podążał za nią przez ciemny dom, czuł, że już w trzech czwartych zasnął, zanim dotarli do sypialni, do której go prowadziła. Głowa wciąż go bolała, a ból głowy i zmęczenie ogarnęły go jak fala powodzi.

Kiedy się obudził, do zakurzonej sypialni wpadało popołudniowe światło słoneczne. Odwrócił się i stwierdził, że Martha siedzi na krześle obok łóżka, ze złożonymi na piersiach rękoma, i patrzy na niego.

Powiedziała:

— Nie byłam śpiąca. I od tak dawna nie miałam nikogo…

Urwała lekko zakłopotana. Wales usiadł, wyciągnął ręce i pocałował ją. Przywarła do niego na chwilę.

Potem cofnęła się.

— Chodzi mi tylko o bliskość — stwierdziła. — W dawnych czasach nigdy nawet na mnie nie spojrzałeś.

Wales uśmiechnął się.

— Ale teraz jesteś ostatnią dziewczyną w mieście.

Twarz Marthy zmieniła się i nagle powiedziała, wyrzucając z siebie lekki potok słów:

— Och, Jay, czy czasami nie masz wrażenia, że to po prostu nie może się wydarzyć, bez względu na to, co mówią Lee i wszyscy inni naukowcy, bez względu na to, co twierdzą ich przyrządy; że wszystko co znaliśmy przez całe nasze życie, po prostu nie może skończyć się w burzy płomieni i uderzeniu z nieba…?

Trzeźwo skinął głową.

— Miałem takie uczucia. Wszyscy je mieliśmy, musieliśmy z nimi walczyć. To właśnie te uczucia wśród ciemnych ludzi, zatrzymają ich tutaj na Ziemi, aż nie będzie za późno, chyba że na czas ich przekonamy.

— Jak naprawdę będzie wyglądało nasze życie na Marsie? — spytała go. — Nie mam na myśli tych wszystkich radosnych pogadanek rządowych, o nowym wspaniałym życiu, które czeka tam na nas wszystkich. Chodzi mi o to, jak tam jest naprawdę.

— Ciężko — odparł. — Czeka nas tam trudne życie. Zasoby mineralne są prawie nieograniczone. Z nich, dzięki naszej nowej wiedzy naukowej na temat syntezy, jesteśmy w stanie wytwarzać powietrze, wodę, żywność. Ale tylko niektóre obszary naprawdę nadają się do zamieszkania. Nasze nowo wybudowane miasta są już bardzo zatłoczone, a kolejne miliony ludzi ciągle napływają.

Ciągle trzymał ją za rękę, mówiąc:

— Ale damy radę. Pamiętaj, że Ziemia nie zostanie całkowicie zniszczona. Za kilka lat wrócimy tutaj.

— Ale to nie będzie to samo, nigdy już nie będzie tak samo jak przedtem — szepnęła.

Nie miał na to odpowiedzi.

Paczkowane jedzenie załatwiło im posiłek w kuchni. Kiedy skończyli, był już prawie zachód słońca.

Martha spytała go wtedy z desperackim zapałem:

— Teraz spróbujemy odnaleźć Lee?

Wales stwierdził:

— Zastanawiałem się nad tym. Nic nie osiągniemy, szukając na ślepo. Agenci Fairliego robili to i nie znaleźli nawet śladu Lee. Myślę, że jest tylko jeden sposób, aby go odnaleźć.

— Jaki?

— Odkąd podczas tej misji opuściłem Nowy Jork, byłem śledzony — powiedział jej Wales. Opisał jej cienie, niewidocznego pościgu, które podążały jego tropem, zanim nie wpadł w ręce ludzi Lantermana. — A więc, moja misja polegająca na odnalezieniu Lee mogła być dobrze znana. Jedynym powodem, dla którego ktokolwiek miałby za mną podążać, jest upewnienie się, żebym go nie odnalazł. A więc ci, co mnie śledzili, muszą należeć do grupy, która schwytała Lee. Bractwo Pokuty, wydaje się tu niemal pewnym kandydatem.

Przerwał, po czym po chwili zaczął mówić dalej.

— Czyli moje cienie muszą wiedzieć, co się stało z Lee, gdzie on jest. Gdyby tylko udało mi się złapać któregoś z nich i zmusić go do mówienia…

— Moglibyśmy dowiedzieć się, co zrobili z Lee! — wykrzyknęła Martha. Potem jej podniecenie opadło. — Ale mówiłeś, że musieli zgubić twój trop w Pittsburghu.

Pokiwał głową.

— Jasne. Ale co zrobią, kiedy się upewnią, że nie ma mnie w bandzie Lantermana w Pittsburghu, że wymknąłem mu się z rąk? Wiedząc, że w pierwszej kolejności zmierzałem do Castletown, przyjadą tutaj, aby mnie odnaleźć. A ja będę na nich czekał.

Na twarzy Marthy pojawił się lekki niepokój.

— Co nasz zamiar zrobić, Jay?

— Zastawię na nich niewielką zasadzkę w samym centrum miasta — ponuro oznajmił. — Będziesz tu zupełnie bezpieczna, dopóki…

Przerwała mu z pasją.

— Nie. Idę z tobą. — Zaczął się z nią spierać, ale po chwili zobaczył desperację w jej oczach. — Jay, nie wiesz, jak to jest być taką samotną. Nie pozwolę ci odejść beze mnie.

Po chwili powiedział:

— Może masz rację. Ale lepiej zacznijmy się przygotowywać. Masz broń?

Wyciągnęła antyczny rewolwer.

— Znalazłam go w sąsiednim domu. Chciałem coś mieć – tak bardzo się bałem, że Bractwo tu przybędzie…

Wales skinął głową.

— Załatwimy ci coś lepszego. A teraz posłuchaj mnie, Martho. Musisz zachować milczenie, musisz robić to co mówię. Nie ma nikogo, kto mógłby nam pomóc, jeśli coś pójdzie nie tak.

Skinęła głową. Otworzył tylne drzwi, wyszli ze starego domu i przeszli przez jego zaniedbany ogród, do uliczki.

Wales z pistoletem w ręku poprowadził ich uliczką w dół. Tam, gdzie przecinała ona Grant Street, zatrzymał się, wystawił głowę i popatrzył w obie strony. Pełna starych domów ulica była nieruchoma i martwa. Rosnące wzdłuż niej klony, tonęły w gasnącym słońcu. Lekki wietrzyk zaszemrał i znów zapadła cisza.

Wales, Martha szybko przemknęli przez ulicę, kryjąc się ponownie pod osłoną uliczki. Kiedy schodzili w dół, trzymając się tyłów budynków, kierując się w stronę Diamentu, Wales ponownie doznał fantastycznego uczucia nierzeczywistości.

Pamiętał każdą stopę tych kwartałów ulic. Ile razy jako chłopiec, roznosząc gazety na swojej trasie, szedł na skróty tą uliczką. I jak ten chłopiec w nim mógł marzyć, że pewnego dnia tu powróci, skoro tak znajome miasto leżało teraz w ciszy i pustce, czekając na zbliżający się Dzień Zagłady?

Dotarli do Diamentu, trawiastego owalu z ławkami i pomnikiem z czasów wojny secesyjnej, otoczonego dookoła trzypiętrowymi witrynami sklepowymi, ich zakurzone okna spoglądały w dół jak oczy ślepca. „Jedź prawą stroną” głosiły wielkie znaki na obu końcach Diamentu, ale po szerokiej ulicy nie jechał żaden samochód, ani jeden.

Wales wyjrzał z wejścia na plac, po czym chwycił Marthę za nadgarstek i pospieszyli przez plac. Sklep z narzędziami Duttona, którego okna wciąż były pełne wystaw sprzętu wędkarskiego, znajdował się po drugiej stronie. Ale kiedy spróbował otworzyć drzwi, okazały się zamknięte.

Mógłby rozbić szybę w drzwiach, ale to by ogłaszało jego obecność w środku. Pośpieszył, spięty i zdenerwowany, do uliczki na tyłach sklepu. Tylne drzwi przy rampie dostawczej, były także zamknięte, ale wybił okno kolbą pistoletu.

Brzęk rozbijanego szkła zadźwięczał w milczącym mieście jak dzwon. Wales zaklął pod nosem i czekał, nasłuchując.

Nie było słychać nawet żadnego szmeru. Otworzył okno i wciągnął za sobą Marthę do ciemnego wnętrza sklepu.

— Dlaczego tutaj? — wyszeptała.

— Każdy, kto przyjedzie do Castletown aby mnie szukać, prędzej czy później trafi na Diament — wyjaśnił jej. — To najlepsze miejsce do obserwacji.

Miał też inny powód. Ruszył naprzód przez ciemny sklep, między stosami stylisk siekier i wiejskich skrzynek pocztowych, wypełniającymi jego nozdrza silnym zapachem oleju, skóry i farby, charakterystycznym dla sklepów z narzędziami.

Znalazł stojak z bronią. Zniknęły wszystkie karabiny i pistolety, ale wciąż pozostał rząd strzelb myśliwskich, których lufy lśniły w mroku jak piszczałki organów. W wytartych, głębokich drewnianych szufladach pod spodem znalazł naboje.

— Zdaje się, że pamiętam, jak chodziłaś z Lee na bażanty — powiedział.

Martha skinęła głową i wzięła jedną ze śrutówek.

— Tylko nie używaj jej, dopóki ci nie powiem — dorzucił.

Ruszyli w stronę frontu sklepu. Potem usiedli i przez okna wystawowe mogli wyglądać na Diament.

Słońce opadło już nisko. Posągi na pomniku rzucały coraz dłuższe cienie na puste ławki, na których niegdyś plotkowali starzy ludzie z Castletown.

Nic się nie działo.

Wales czekał, rozmyślając jak bardzo oburzony byłby zrzędliwy pan Dutton, tym co zrobili. Pasowało do niego, że tak starannie pozamykał sklep od przodu i od tyłu, zanim opuścił go na zawsze.

Spojrzał przez Diament, na Busy Bee Cafe, na elektryczny warsztat obuwniczy, ale na stary ceglany budynek YWCA.

Zmierzch pogłębiał się. Martha poruszyła się lekko obok niego. Miał nadzieję, że nie traci odwagi.

Potem zdał sobie sprawę, że go szturcha. Szepnęła:

— Jay.

W tej samej chwili usłyszał dudniący dźwięk. Nawet tutaj, wewnątrz sklepu, w tym cichym mieście wydawał się on nienaturalnie głośny. Przycupnął niżej.

Ulicą przejechał długi zielony samochód, zatoczył koło wokół Diamentu, a potem zatrzymał się z piskiem hamulców.

Łowcy przybyli do Castletown.

ROZDZIAŁ VI

Z samochodu wysiadło trzech mężczyzn i stało tam o zmierzchu, po południowej stronie Diamentu.

Mieli na sobie wiatrówki i luźne spodnie od dresów. Jeden z nich był niski i pulchny, pozostali dwaj wyglądali na przeciętnych ludzi. Wszyscy mieli pistolety maszynowe Venna.

Krótko porozmawiali. Jeden z tych przeciętnych wydawał się być przywódcą, pomyślał Wales, sądząc po sposobie w jaki gestykulował i mówił.

— Co oni mają zamiar robić? — wyszeptała Martha.

— Szukać mnie — odparł Wales. — Sto do jednego, że zostawili kogoś w Obserwatorium i w twoim domu, na wypadek gdybym tam przyjechał. A ta trójka będzie mnie szukać w centrum miasta.

Trzech mężczyzn rozdzieliło się. Jeden poszedł na wschód wzdłuż Washington Street. Drugi wsiadł z powrotem do samochodu i pojechał na North Jefferson. Ostatni z ludzi – ciemnowłosy, pulchny mężczyzna, zaczął krążyć wokół Diamentu, trzymając się blisko frontów sklepów, gotów w każdej chwili rzucić się w ukrycie.

W głowie Walesa zaświtał pomysł i od razu przystąpił do jego realizacji. Podkradł się do frontowych drzwi sklepu z narzędziami, przekręcił powoli zamek i bezgłośnie otworzył je na kilka cali.

Wrócił, gorączkowo szperając w półmroku, aż znalazł szpulę drutu. Potem powiedział do Marthy:

— Chodź, tutaj – wejdź za ten kontuar. I siedź tam.

— Jay, on idzie w tę stronę! — zaprotestowała. — Zobaczy, że drzwi są uchylone…

Przerwał jej.

— Tak. Chcę, żeby tak się stało. Rób, co mówię.

Z bladą w gęstniejącym mroku twarzą, przykucnęła za ladą, daleko w środku sklepu.

Wales szybko przekradł się na przód sklepu, wskoczył tam za ladę i również przykucnął schowany.

Teraz, przez uchylone drzwi, słyszał jak pulchny mężczyzna zbliża się chodnikiem. Potem zobaczył go, widział jak ciężka, kluchowata twarz przybysza obraca się czujnie z boku na bok, przy każdym kolejnym kroku.

Mężczyzna zatrzymał się, a pistolet maszynowy w jego ręce szybko się uniósł. Zauważył, że drzwi do sklepu z narzędziami są lekko uchylone.

Z pistoletem gotowym do strzału pulchny człowiek podszedł powoli do drzwi. Otworzył je szeroko, kopnięciem stopy. Zajrzał w półmrok sklepu, poruszając się na nogach jak tancerz, gotów do natychmiastowego odwrócenia się.

Palce Walesa zacisnęły się na małym kartoniku z zawiasami, leżącym pod ladą. Nagle cisnął pudełeczko na drugą stronę sklepu. Z głośnym stukotem uderzyło ono w wystawę blaszanych naczyń.

Pulchny człowiek błyskawicznie obrócił się w tamtą stronę.

W tej samej chwili, równie szybkim ruchem, Wales wyskoczył zza lady i wbił pistolet w plecy pulchnego mężczyzny.

— Rzuć tę broń — rozkazał Wales — albo rozwalę ci kręgosłup!

Zobaczył, jak pulchny mężczyzna sztywnieje i wygina plecy w konwulsyjnym ruchu. Palec Walesa zacisnął się na spuście. Ale zanim za niego pociągnął, pistolet maszynowy upadł z brzękiem na podłogę.

— Martha — zawołał Wales.

Podeszła szybko, z bladą i przerażoną w mroku twarzą.

— Weź ten drut i zwiąż mu nadgarstki za plecami — polecił Wales. — Nie stawaj przed moim pistoletem.

Trzęsącymi się palcami zrobiła, co kazał.

— Teraz zamknij drzwi frontowe.

Wales odwrócił pulchnego człowieka.

— A ty siadaj na podłodze. Jeden dźwięk, który wydasz z siebie głośniej niż szeptem, i będziesz martwy.

Pulchny mężczyzna przemówił szeptem, wysokim falsetem.

— Ty już jesteś martwy. Cokolwiek stanie się ze mną, nie uciekniesz z Castletown.

— Nie martw się o nas — poradził mu Wales. — Martw się o siebie. Gdzie jest Lee Kendrick?

Pulchny człowiek popatrzył na niego spokojnym wzrokiem.

— Nie wiem, o czym mówisz.

Martha wyszeptała ze zdumiewającą zaciekłością:

— Zmuś go do mówienia, Jay.

Wales najpierw przeszukał więźnia. Nie znalazł przy nim żadnych papierów, tylko magazynek do pistoletu. Pulchny wydawał się kompletnie niewzruszony.

— No dobrze, gdzie jest Kendrick? — powtórzył Wales.

Pulchny odpowiedział:

— Mówisz o tym Kendricku, który odkrył, że nadchodzi Dzień Zagłady? Ten Kendrick? A skąd miałbym wiedzieć gdzie on jest?

— Dla kogo pracujesz? — naciskał go Wales. — Kto schwytał Kendricka, kto wysłał cię, żebyś jechał za mną od Nowego Jorku? Bractwo?

Pulchny popatrzył na niego ze zdziwieniem.

— Hę?

— Bractwo Pokuty — wszedł mu w słowo Wales. — Jesteś jednym z nich, co? Macie Kendricka, prawda? Gdzie?

Twarz Pulchnego zaczęła wykrzywiać się w grymasie śmiechu. Wales szybko uniósł pistolet i człowiek zdusił śmiech w zarodku. Ale boki mu się trzęsły.

— Ja miałbym należeć do tego Bractwa? Jesteś zabawny. Jesteś naprawdę zabawny, Wales.

— A więc znasz mnie — warknął Wales. — Wiesz o mnie wszystko, ruszyłeś moim śladem, gdy zacząłem szukać Kendricka. Kto cię przysłał?

W oczach Pulchnego pojawił się dziwny błysk, ale milczał.

Coś w jego spojrzeniu sprawiło, że Wales odwrócił się. Ich więzień siedział twarzą do frontu sklepu.

Na zewnątrz, w ciemniejącym zmroku, jeden z dwóch pozostałych ludzi wrócił na Romb.

— Martha — wyszeptał Wales.

— Tak?

— Weź swoją śrutówkę. Jeśli spróbuje choćby otworzyć usta, walnij go nią prosto w łeb.

Natychmiast wzięła strzelbę i stanęła z uniesioną bronią. Pulchny popatrzył na nią i skrzywił się.

Wales przekradł się z powrotem na front sklepu i wyjrzał na zewnątrz. Drugi z ludzi wydawał się zaniepokojony, trzymał wysoko pistolet Venna i powoli rozglądał się po Diamencie. Wales wiedział, że niepokoił się nieobecnością Pulchnego.

Mężczyzna ukrył się za cokołem pomnika i czekał. Oczywiście wyczekiwał, aż wróci ten z samochodem.

Mijały minuty. Zmierzch przechodził w łagodną majową ciemność. Nagle Martha szepnęła.

— Jay!

Odwrócił się do niej. W ciemności jej twarz zmieniła się w dziwną białą plamę.

— Tak?

— Słyszę śpiew — powiedziała. — Ktoś śpiewa, gdzieś daleko.

— To tylko wiatr gra w przewodach — powiedział. — W całym mieście nie ma nikogo poza nami… i nimi. Miej oko na tego gościa, myślę, że wkrótce pojawią się kłopoty.

Znowu wyczekiwał. Z zewnątrz słyszał szum wzmagającego się i słabnącego wiatru. Potem ogarnęło go dziwne przekonanie.

To nie był wiatr. Był to narastający i opadający dźwięk odległych głosów, wielu głosów. Teraz wietrzyk przyniósł go przez noc trochę głośniej, po chwili wrócił do szmeru. Wales ostrożnie uchylił drzwi, aby posłuchać.

Wykrzyknął:

— To gdzieś z góry na North Hill, ale co u licha…

Nagle znów przykucnął niżej z uniesionym pistoletem. North Jefferson zjeżdżał ze wzgórza długi zielony samochód, pędził szybko.

Objechał dookoła Diament. Siedzący w nim człowiek wychylił się i zawołał. Ten, stojący za pomnikiem, wybiegł mu na spotkanie, mówiąc coś szybko i gestykulując.

Ale kierowca wskazał ręką na północ i krzyknął. Wales nie widział jego twarzy, ale słyszał surowy ton jego głosu i wychwycił ostatnie słowo: „nadchodzą!"

Drugi mężczyzna wskoczył do samochodu, po ostatnim obrzuceniu wzrokiem pustego Diamentu. Samochód pomknął po Washington Street, kierując się na wschód.

— Czemu oni odjechali, wręcz uciekli! — wykrzyknęła Martha. — Zostawili tu swojego kolegę i…

Wales uniósł rękę.

— Posłuchaj!

Gdy cichnący ryk samochodu rozpłynął się w oddali, znów rozległ się śpiew – i tym razem był głośniejszy, znacznie głośniejszy, a wraz z nim słychać było miarowe dudnienie bębnów.

Przetaczał się z północy i teraz Walesowi wydawało się, że słyszy słowa chóru, powtarzane w nieskończoność.

— Alle-lu-ja! Alle-lu-ja…

Na szczycie wzgórza North Jefferson Street nagle rozbłysły światła. Nie były to stałe światła, poruszały się, rzucały i trzęsły, a były ich dziesiątki, dziesiątki. To były pochodnie.

Długi, gruby wąż płonących pochodni wlewał się szeroką ulicą do ciemnego i martwego miasta. Wales nie widział ludzi, tylko pochodnie, dziesiątki, setki. Ale słyszał głośne śpiewy tych, którzy nieśli te płonące znaki.

— Alle-lu-ja…

Bum-bum-trach, grzmiały bębny na przedzie rzeki pochodni, Wales poczuł przyspieszenie ich dzikiego rytmu i zaśpiewu skandujących głosów, które odbierały mu dech w piersiach.

Martha wydała z siebie stłumiony okrzyk.

— Jay, to zbliża się Bractwo! Fanatycy nadchodzą tu właśnie, żeby…

Włosy na karku Walesa zjeżyły się. Nie musiała kończyć swego przerażonego okrzyku. Koszmarny kształt zbliżających się wydarzeń był aż nazbyt jasny.

Od miasta do miasta, Bractwo Pokuty maszerowało, te słabe, oszalałe umysły, wytrącone z równowagi psychicznej przez zbliżanie się Dnia Zagłady. Spalili Brighton Falls, Sharon i Bóg jeden wie, ile jeszcze innych opuszczonych miasteczek. A teraz przyszła kolej na Castletown, by stało się pokutną ofiarą…

Chciał odwrócić się i uciekać przed tym zbliżającym się obłąkanym pochodem. Ale nie zrobił tego. Przykucnął, obserwując, i poczuł obok siebie drżącą Marthę.

— Jay, jeśli to oni mają Lee, może będzie z nimi!

— Na to właśnie mam nadzieję — wyszeptał.

Pochodnie dochodziły do Diamentu i teraz był już w stanie rozróżnić ludzi, którzy je nieśli. Ruszyli wokół owalu, a rzucany na wszystkie strony czerwony odblask ognia, odbijał się od okolicznych okien, które lśniły jak wielkie oczy ze zdumieniem obserwujące wszystko, co się działo.

Na przedzie, przed morzem pochodni, maszerowało pół tuzina mężczyzn i kobiet z głośno bijącymi, w dokładnie stałym rytmie, bębnami. Za nimi szła główna masa. Pomyślał, że może ich być od dwustu do trzystu.

Mężczyźni, kobiety, dzieci. Obdarte i brudne ubrania, rozczochrane włosy, nieogolone twarze, oczy błyszczące szaleńczymi, gwałtownymi emocjami, niekończący się chór wrzeszczących głosów

Bractwo Pokuty…

— Alle-lu-ja…

Tych szalonych fanatyków nie opanowała żadna religijna pasja. Naprawdę religijni ludzie tego świata, dostrzegli palec Boży w ocaleniu ludzi na Ziemi, przy pomocy nowo zdobytej wiedzy ludzkości. Ale ci wrzeszczący przybysze powrócili do poziomu mrocznego barbarzyństwa, do pogańskich prób przebłagania groźnego losu, cofając się poniżej wszelkich oznak cywilizacji.

Bum-bum waliły bębny tuż przed sklepem Duttona, gdy awangarda szalonej parady przechodziła koło niego, podążając węższą drogą wokół owalu, robiąc miejsce dla coraz większej liczby ludzi z pochodniami, tutaj w centrum starego miasta. Niebawem wszyscy znaleźli się na Diamencie, gęsta masa płonących pochodni i szalonych twarzy, wszystkie zwrócone w stronę środka placu, gdzie stał pomnik.

Człowiek o białej twarzy i rozpalonych oczach wskoczył na cokół pomnika i bębny rozdudniły się głośniej, a między szeregami Bractwa zerwał się potężny wrzask. Zaczął mówić, jego głos brzmiał piskliwie i ostro.

— Jay, widzisz gdzieś Lee? Ja nie…

— Nie — odparł Wales. — Nie ma go wśród nich.

Z placu, przez wymachujący pochodniami tłum, dobiegł skrzeczący głos.

— …wypalimy siedliska grzechu, a moce mroku oraz kosmosu ujrzą świetliste oznaki naszej pokuty i powstrzymają swój gniew…

Martha powiedziała:

— Och, Jay, oni zamierzają spalić Castletown. Czy nie możemy ich jakoś powstrzymać…

Pochwycił ją za ramiona. Ostatnie za dużo przeszła, ale teraz nie mógł jej pozwolić na histerię.

— Martho, nie damy rady ich powstrzymać, rozerwaliby nas na strzępy! A poza tym, jaka to teraz różnica? Temu miastu nie pozostały nawet cztery miesiące życia i podobnie jak wszystkie inne miasta, i tak zostanie zniszczone!

Ich więzień, siedzący z tyłu w ciemnościach, nagle odezwał się głośno. Wales skoczył w jego stronę, przyciskając pistolet do ciała pulchnego człowieka.

— Jeszcze jeden krzyk i z niego wystrzelę — ostro ostrzegł go Wales.

Pulchny popatrzył na niego i powiedział ochryple:

— Oszalałeś? Ci maniacy nie są moimi przyjaciółmi! Zamierzają spalić całe to miasto, tak samo jak spalili inne – musimy natychmiast się stąd wydostać!

Szalony strach w głosie pulchnego mężczyzny brzmiał całkowicie szczerze. A na Walesa kucającego obok jeńca nagle spłynęło miażdżące oświecenie.

Zapytał:

— A więc ty i twoi kumple nie pracujecie dla Bractwa? Więc to nie Bractwo porwało Lee Kendricka?

— To szaleńcy! — powtórzył Pulchny. — Na litość boską, Wales, czy pozwolisz im spalić nas żywcem?

Wales pochylił się, chwycił mężczyznę za gardło.

— A więc to nie Bractwo schwytało Kendricka. W takim razie, kto to zrobił? Kto inny chce, aby na Ziemi uwięzione zostały miliony ludzi? Kto cię po mnie wysłał?

Głos Pulchnego zrobił się surowy i wściekły.

— Wydostań mnie stąd, a powiem ci kto. Ale jeśli tu zostaniemy, to już jesteśmy martwi.

— Powiesz mi teraz!

Pulchny zapadł w ponure milczenie. Nagle pojedynczy piskliwy, skrzeczący głos zakończył swą przemowę na Diamencie, na szaleńczej nucie.

Bum-bum, ponownie zahuczały bębny. Bractwo ryknęło jednym głosem, jak jakaś potężna bestia. Ludzie z pochodniami zaczęli mieszać się, odrywać od głównej masy, rozbiegać w cztery główne ulice, potrząsając płonącymi żagwiami i wrzeszcząc.

Jedna z krzyczących kobiet przyłożyła pochodnię do wyblakłej płóciennej markizy przed salonem elektrycznego warsztatu obuwniczego. Płótno zapłonęło i bębny znów się rozhuczały.

— Jay! — krzyknęła Martha.

Wales zmusił Pulchnego się do podniesienia się na nogi, obrócił go twarzą do frontowych okien i chaosu płonących pochodni za nimi.

— Martha i ja uciekniemy od tyłu — powiedział Wales. — Ciebie zaś zostawiamy tutaj, związanego i bezradnego, chyba że powiesz nam wszystko!

ROZDZIAŁ VII

Migoczące, upiorne światło biło przez frontowe okno sklepu, w miarę jak płomienie omiatały fronty starych budynków na Diamencie. Chrapliwe wrzaski chocholego tańca-alleluja Bractwa, przyspieszone dudnienie bębnów, robiły się coraz głośniejsze. Ognisty blask oświetlał pozbawioną krwi, wykrzywioną strachem twarz więźnia, który wpatrywał się w Walesa i Marthę.

Wales wciąż odczuwał wstrząs spowodowany ostatnim potężnym zaskoczeniem. Tak bardzo był pewien, że tylko szalone Bractwo mogło stać za planem porwania Kendricka, upiornym spiskiem zatrzymania milionów ludzi na Ziemi, dopóki na ich głowy nie spadnie Dzień Zagłady. Kto inny prócz tych szaleńców mógłby zrobić coś takiego? Kto jeszcze mógłby mieć jakiś motyw?

Nie miał pojęcia. Ale ich pulchny więzień wiedział. I nawet ryzykując uwięzienie Marthy oraz siebie samego, w składanym w ofierze Castletown, musiał się tego dowiedzieć.

— Proszę — wydyszał Pulchny. — Nie mamy szans, jeśli zostaniemy tu dłużej. Widziałem już tych maniaków i ich pokuty. Nie pominą budynku stojącego w takim miejscu!

Wales popatrzył na bladą twarz Marthy.

— No dobrze, Martho, jedziemy. Zostawmy tego gościa tutaj. — Zaczął się odwracać.

— Nie, to by było morderstwo! — krzyknął Pulchny. — Nie możecie mnie tutaj zostawić, mam związane ręce…

— No to powiedz — naciskał Wales. — Kto porwał Kendricka. Kto za tym wszystkim stoi?

Kropelki potu pojawiły się na białej jak ciasto twarzy Pulchnego. Jego oczy wykręciły się strasznie, a potem powiedział ochryple:

— Fairlie. John Fairlie. I inni…

— Fairlie? Regionalny Komendant Ewakuacji? A co z nim? — dopytywał się Wales.

— On i jego kumple, inni urzędnicy Ewakuacji – to oni za tym stoją — wyrzucił z siebie Pulchny. — Mają Lee Kendricka. To oni chcą, by na Ziemi pozostało jak najwięcej ludzi.

Wściekły Wales chwycił więźnia za tłuste gardło i potrząsnął nim z całej siły.

— No dobrze, miałeś swoją szansę — wściekał się. — I wciskasz nam takie bezczelne kłamstwa. Na Boga, zostawiamy cię…

Głos Pulchnego uniósł się niemal do poziomu krzyku.

— To prawda! Kazałeś ci mówić, a kiedy to zrobiłem, nie wierzysz mi! Siedzi ich w tym cała gromada, nie wiem ilu. Wiem, że prócz Fairliego jest jeszcze para pomocniczych Komendantów Ewakuacji, w innych krajach, oraz kilku pomniejszych urzędników, i paru innych, nie wiem. Widziałem ich koło Nowego Jorku. To tam trzymają Lee Kendricka. Zabiliby mnie za to, że ich wydałem. Ja ci mówię to wszystko, a ty mi nie wierzysz…

Martha rzuciła niepewnym głosem:

— Och, Jay, może on mówi prawdę – może właśnie tam jest Lee!

Wales wykrzyknął:

— Nie widzisz, że to czyste łgarstwa? Fairlie jest jednym z funkcjonariuszy, którym powierzono ewakuację wszystkich ludzi z Ziemi, a czemuż to inni urzędnicy mieliby chcieć nakłonić miliony spośród nich, do pozostania tutaj?

— Bo nie chcą ich na Marsie, myślą, że to szumowiny i powinni pozostać na Ziemi! — krzyknął Pulchny. — Mało to słyszałem, ich gadaniny? O tym, jak ciężko będzie przetrwać przez lata na Marsie, kiedy tam już jest zbyt wielu ludzi. I o tym, że lepiej byłoby dla wszystkich, gdyby zostawić tych ciemnych szaleńców i ich rodziny tutaj. Nie wywozić ich na Marsa, aby nie obciążać pozostałych. Czy nie słyszałem jak…

Wściekłość Walesa na ich więźnia ustąpiła, zmieciona przez lodowatą falę straszliwych wątpliwości, które wbrew jemu samemu wezbrały w tej chwili w jego głowie.

Teraz przypomniał sobie wiele spraw. Przed oczyma stanęła mu ponura twarz Fairliego, gdy mówił z zamyśleniem, jak trudne będzie życie na Marsie, z każdym kolejnym milionem mieszkańców z Ziemi. Przypomniał sobie gorzko pogardliwy sposób, w jaki Fairlie – i Holst, Bliss oraz Chaumez – mówili o grabieżcach, ciemnych opierających się, szalonych ludziach, których ewakuacja z Ziemi byłaby trudna.

„Tylko fanatycy mogliby chcieć uwięzić miliony ludzi na Ziemi", to on tak powiedział – Wales. Myślał wtedy o Bractwie. A co, jeżeli istnieją także inni, jeszcze bardziej straszliwi fanatycy? Fanatycy, którzy bezlitośnie zdecydowali, że co bardziej zacofani i ciemni z milionów ludzi na Ziemi, będą tylko ciężarem w nadchodzących trudnych latach na Marsie — i którzy potajemnie zaplanowali nakłonić tych ludzi, aby pozostali tutaj aż nie będzie za późno?

Takie rzeczy były planowane i robione już wcześniej, przez egoistycznych, samozwańczych strażników interesu publicznego! A jeśli… jeśli to była prawda, to wyjaśniało dlaczego jego, Walesa, śledzono. Wyjaśniało, dlaczego Fairlie rzucił podejrzenia na Bractwo, wyjaśniało wiele rzeczy…

— Alleluja! — ryczał wyjący chór głosów na ulicach. A czerwony, migoczący blask nagle przybrał na sile.

— Jay! — zawołała Martha przerażonym tonem. Odwrócił się.

Front sklepu z artykułami żelaznymi płonął, a płomienie owijały się wokół krawędzi okien, buchając na zewnątrz.

— Zabiłeś nas! — wyszlochał Pulchny.

Wales, czując w głowie plątaninę myśli, zdał sobie sprawę, że nie odważy się dłużej zwlekać. Uniósł pistolet Venna, a następnie postawił jeńca na nogi.

— Chodźmy, Martho — powiedział. — Przez okno od tyłu.

Pulchny pokuśtykał niezgrabnie, z rękami ciągle związanymi za plecami. Przemknęli pośpiesznie przez stary sklep z coraz jaśniejszym blaskiem ognia za plecami i wyszli przez okno do zaułka.

Po lewo, z hotelu Penn, strzeliły z rykiem w niebo płomienie, a deszcz iskier popłynął przez ciemność. Jedno spojrzenie powiedziało Walesowi, że Bractwo wznieciło pożary w całych kwartałach domów przy ulicach Mercer i South Jefferson.

— Tędy — zawołał, ruszając w alejkę, która biegła na południe między ulicami. Trzymał Pulchnego za ramię, ale nie musiał pośpieszać ich przerażonego więźnia.

Wales wyrzucił w tej chwili wszystko z głowy, prócz myśli o konieczności ucieczki przed holokaustem tej najnowszej płomienistej pokuty. A ostatnie podejrzenia przewijające się przez jego umysł były tak wstrząsające, że nie chciał o nich myśleć, dopóki nie będzie musiał.

Orientował się w zaułkach i uliczkach Castletown nawet w ciemności. I mieli iluminację, która oświetlała im drogę – coraz więcej i więcej światła bijącego w górę ku rozciągającemu się za nimi nocnemu niebu.

Przecięli Mill Street i skierowali się na południowy wschód do willowej dzielnicy pełnej niewielkich domków. Tutaj dał Marthcie swój pistolet i kazał jej przypilnować Pulchnego, podczas gdy on sam poszukał samochodu.

Znalazł jakiś, w garażu przylegającym do pierwszego domku. Żeby wejść do garażu, musiał przedostać się przez sam dom. Pokoje były dokładnie w takim stanie, jak ktoś je zostawił; meble, dywany, wszystkie rzeczy, których mieszkańcy nie mogli zabrać ze sobą podczas ewakuacji, znajdowały się wciąż na swoim miejscu.

Wales znowu poczuł ukłucie igły w sercu. Ktoś trudził się i planował dla tego małego domu i rzeczy, które się w nim znajdowały. A teraz nie przetrwa on nawet do zwykłego końca świata – bezsensownie zginie w płomieniach.

Wyjechał na ulicę, i wepchnął Pulchnego na tylne siedzenie. Bez ryzyka, związał też kostki nóg ich więźnia. Potem, z Marthą u boku, Wales szybko pojechał stromymi ulicami na południowy wschód.

— Popatrz, Jay! — zawołała, kiedy dotarli do szczytu. Patrzyła do tyłu. Zatrzymał samochód i obejrzał się razem z nią.

Cała śródmiejska część Castletown stała w bijących ku gwiazdom płomieniach. Wiatr wirował iskrami płynącymi w chmurach, a w ich stronę kładła się wielka smuga dymu.

Na południe od centrum miasta przemieszczała się rzeka pochodni. A z tych ulic, dopiero teraz podpalanych, przebijając się przez trzask płomieni, dobiegał odległy huk bębnów Bractwa i ich wznoszący się i opadający śpiew.

Martha płakała. Objął ją ramieniem i odwrócił od tego widoku.

— Martho, to nic nie znaczy. To i tak przetrwałoby tylko przez kilka miesięcy, do Dnia Zagłady.

A jednak, był w stanie zrozumieć jej emocje. On sam od dawna nie mieszkał w Castletown. Ale żałował, że jego ostatni obraz starego miasta, wyglądał właśnie tak.

Odwrócił się do Pulchnego.

— Teraz możesz mówić. Zajmijmy się tym.

Pulchny stwierdził ponuro:

— Już za wiele powiedziałem. A ty i tak mi nie wierzysz.

Twarz Walesa stwardniała. Oznajmił:

— Niech będzie. Płomienie dotrą do tej willowej dzielnicy, za godzinę. Zostawimy cię tutaj.

To wystarczyło. Wyglądało to, jakby twarz ich więźnia nieco obwisła.

— Dobrze, już dobrze! — zawołał. — Ale po co mam mówić, skoro nieustannie twierdzisz, że kłamię?

— Mimo to opowiedz mi wszystko, od samego początku — polecił Wales.

Pulchny zarzekał się:

— Słuchaj, ten cały plan pozostawienia rzeszy kiepskich nieudaczników tutaj, na Ziemi, to nie był mój pomysł. Pięć lat temu, kiedy zaczęto organizować operację „Dzień Zagłady", dostałem pracę w policji ewakuacyjnej. Wkrótce zostałem sierżantem, a potem… zaczęły do mnie dochodzić słuchy o różnych sprawach związanych z ewakuacją, od innych sierżantów.

Mężczyzna przerwał na chwilę, po czym mówił dalej.

— Eugene – to był mój przyjaciel policjant – powiedział mi, że Fairlie i inni szefowie Ewakuacji potrzebują ludzi do specjalnej pracy w tajnej policji. Powiedział mi, że praca jest tak ważna i tajna, że nikt nie może o niej wiedzieć. Powiedziałem okej, że chcę być jednym z tych specjalnych agentów Tajnej Policji Ewakuacyjnej. Więc mnie przyjęli. A sam Fairlie rozmawiał ze mną i kilkoma innymi osobami.

Wales uważnie obserwował Pulchnego, widział, jak ociera pot z czoła.

— Fairlie powiedział nam, że nie będą w stanie zabrać wszystkich z Ziemi, przed Dniem Zagłady. Mówił, że to niemożliwe, na pewno zostaną jeszcze miliony ludzi. Powiedział nam, że on i pewni inni urzędnicy z kluczowych stanowisk w Ewakuacji zdecydowali, że skoro i tak będą musieli tu kogoś zostawić, to lepiej aby byli to tępi wieśniacy, zacofańcy i ciemna hołota. Oznajmił, że oni tylko utrudnialiby życie wszystkim na Marsie. Lepiej było, jak stwierdził Fairlie, wyplenić ich i zostawić tutaj.

W Walesie zaczęło narastać lodowate uczucie potwornego zrozumienia, pomimo wszystkich prób, aby je odeprzeć.

Słyszał już tego rodzaju gadaninę. Nie otwarcie, lecz w formie podstępnych szeptów i aluzji. Ludzie, którzy czuli się pewni tego, że uciekną z Ziemi, wyrażali arystokratyczny żal, iż wszyscy ludzie z Ziemi mają zostać uratowani, że na nowej planecie będą musieli dźwigać brzemię „wsteczników".

Nikt nie odważył się głosić takich idei publicznie. Ale byli tacy, którzy potajemnie je rozpowszechniali. A ci, którzy tak robili, mogli równie potajemnie postanowić, że „bezużyteczni i zacofani" nie opuszczą Ziemi. Fairlie i inni jemu podobni, mogli być pośród nich…

— Fairlie powiedział nam — ciągnął Pulchny — że nie powstrzymają nikogo, kto chce wyjechać. Ale, jak stwierdził, wielu głupców nie będzie chciało lecieć, jeśli wszystko zostanie dobrze rozegrane, a to rozwiąże nasz problem.

Martha przerwała mu.

— A mój brat… co z nim? Mówiłeś, że porwali Lee?

Pulchny skinął głową.

— Miałem właśnie do tego przejść. Pewnej nocy Fairlie zadzwonił do paru z nas naprawdę zaniepokojony i powiedział nam, że musimy pojechać do Castletown i schwytać Lee Kendricka. Powiedział, że sondował Kendricka co do pomocy w spisku, oraz że Kendrick nie chciał grać w naszej drużynie.

— Chciałeś powiedzieć — powiedział szybko Wales, — że Fairlie i jego grupa chcieli, by Kendrick pomógł im wpędzić w pułapkę „zacofańców" tu na Ziemi?

Głowa Pulchnego skinęła.

— Tak jak to zrozumiałem, o to właśnie chodziło. Kendrick miałby złożyć oświadczenie, poddające w wątpliwość, czy Dzień Zagłady w ogóle się wydarzy – a ciemniaki zdecydowałyby się wtedy pozostać na Ziemi. Myślę jednak, że kiedy Fairlie trochę go wysondował, Kendrick okazał się być przerażony tym pomysłem i Fairlie musiał szybko się wycofać oraz wmówić mu, że nie to miał na myśli.

Martha ścisnęła ramię Walesa.

— Jay, to dlatego Lee był tak strasznie zatroskany, taki niespokojny – dlatego też nie chciał opuścić Ziemi! Bał się, że taki plan jest naprawdę przygotowywany!

Wales był w stanie to sobie wyobrazić. Znał Lee Kendricka i wiedział, że nawet cień podejrzenia co do istnienia tak bezwzględnego i straszliwego planu, wywarłoby na niego druzgocący wpływ.

— A więc — dokończył Pulchny, — zanim Kendrick nabrał zbyt dużych podejrzeń i zaczął gadać, pojechaliśmy do Castletown, schwytaliśmy go i zabraliśmy do Nowego Jorku. Zaś jego zniknięcie, dało niemal równie dobre efekty, co oświadczenie – ciemniaki doszły do wniosku, że on nie opuścił Ziemi, więc oni też tego nie zrobią.

— Ale on żyje? — zawołała Marta. — Nie zabili go?

Pulchny wzruszył ramionami.

— Nie było potrzeby. Fairlie nadal chce, żeby wygłosił to oświadczenie, żeby wszystkie szumowiny miały pewność, że tutaj jest bezpiecznie i zostały na Ziemi, aż będzie za późno.

Wales nagle poczuł opór do wszystkiego, co usłyszał, z powodu wstrząsającego, koszmarnego zła tej całej sprawy.

— To nieprawda, to nie może być prawda! — wykrzyknął. — Martho, ten człowiek musiał opowiedzieć jakąś historię, żeby uratować swoją skórę i dlatego to zrobił!

Jej twarz wyglądała blado w odległym blasku ognia.

— Jay, rasa ludzka robiła już takie rzeczy, chociaż są one straszne. W przeszłości zabijano miliony ludzi, właśnie z takich powodów.

On też o tym wiedział i starał się z tą wiedzą walczyć – zmagając się z zimnym przekonaniem, że nie może się zupełnie załamać.

— Jeśli Lee nadal żyje, może nam wszystko wyjaśnić! — mówiła dalej. — Jeśli uda nam się do niego dostać, uratować go…

Wales zwrócił się do ponurego Pulchnego.

— Powiedziałeś, że Fairlie i inni przetrzymują Kendricka w pobliżu Nowego Jorku. Ale gdzie?

— Tam, gdzie jest blisko pod ręką, ale gdzie nikt nie może się do niego dostać — odparł Pulchny. — Na Bedloe's Island w porcie, w Nowym Jorku. Wiesz, stara Statua Wolności.

Wales myślał z zamętem w głowie. Teraz płomienie maszerowały w ich stronę ulicami wiodącymi po zboczu wzgórza, a odległy dźwięk bębnów i śpiewy dobiegały od strony południowej.

Bractwo opuszczało Castletown, by uczynić jakieś inne martwe miasto ognistym znakiem ich pokuty.

— Ciągle — stwierdził Wales — nie mogę w to uwierzyć. Ale udowodnimy to w ten czy w inny sposób. Wróćmy do Nowego Jorku i zobaczymy, czy Lee naprawdę jest na tej wyspie.

— Nie macie najmniejszych szans! — oznajmił Pulchny, a jego głos przeszedł w wysoki jęk. — On tam jest pod strażą.

— A ty — wszedł mu w słowo Wales — możesz nam powiedzieć, gdzie są strażnicy i jak najlepiej ich ominąć. Tak więc, idziesz z nami.

Zignorował gorączkowe sprzeciwy pulchnego człowieka i uruchomił samochód. Skierował się na wschód, aby ominąć płonące miasto w bezpiecznej odległości.

Stojące przed nimi niebezpieczeństwo, łowców, którzy nadal będą na niego polować, Wales zignorował. A czy na Ziemi zmierzającej ku Dniu Zagłady, gdziekolwiek było bezpiecznie?

ROZDZIAŁ VIII

Grzmot przetoczył się z hukiem po nocnym niebie, w ogłuszającym crescendo. Do góry, w gwiaździste niebo, na blednącej kolumnie ognia, wznosiła się ku gwiazdom wielka czarna bryła. I ledwie ucichły echa jednego startu, ponownie rozległa się głucha eksplozja i kolejna rakieta wystartowała w niekończącej się Windzie na Marsa.

Przycupnęli razem z Marthą w cieniu starego molo, a przed nimi rozciągała się szemrzące, czarne kształty Upper Harbor. Wales spojrzał przez ramię na ognisty palec, który wskazywał na nowy dom człowieka na niebie. Odwrócił się do Marthy, gdy odezwała się do niego szeptem, wpatrując się ponad ciemną wodą.

— Nie widzę żadnych świateł, Jay. Nawet jednego.

— Nie mogą pokazywać świateł — odparł. — Nie mogą rozgłaszać informacji, że tam są.

— Jeżeli tam są — powiedziała. — Jeśli jest tam Lee.
Wziął ją szorstko za ramiona.
— Martho, nie trać teraz zapału. Pomyśl, ile od tego zależy.
Skinął głową w stronę odległego portu kosmicznego w New Jersey, z którego z majestatycznym grzmotem i otoczony ogniem, wznosił się kolejny zmierzający na Marsa statek.
— Powinno być dwa razy więcej statków, dwa razy więcej ewakuowanych, niż teraz odlatuje! Wszyscy ludzie, którzy zwątpili, którzy odwlekają decyzję, którzy odmawiają odlotu – Lee jest kluczem do ich uratowania.
— Ale żebyśmy tylko byli w stanie pomóc, Jay. Władze…
Wales powiedział:
— Fairlie, jako regionalny Komendant Ewakuacji, jest teraz najwyższą władzą w tym miejscu.
Wziął ją za rękę.
— Chodź. Przecież musimy znaleźć jakąś łódkę.
Ruszyli wzdłuż ciemnego nabrzeża. Znajdowali się, jak przypuszczał Wales, gdzieś w południowych dokach Jersey City. Na zewnątrz, w ciemnym porcie, leżała Bedloe's Island. Było już po północy i mieli mało czasu.
On i Marta, razem ze swoim więźniem, w ciągu dnia przejechali przez Pensylwanię nieużywanymi, opustoszałymi bocznymi drogami. Okrężna trasa zajęła trochę czasu, a kilka godzin snu, skradzionych w zaroślach przy drodze, dorzuciło go jeszcze więcej. Ale Wales nie odważył się podjąć ryzyka, że ktoś ich zauważy.
Jeśli historia Pulchnego była prawdziwa, ich wrogiem był Fairlie. To Fairlie, wysłał za nim łowców. A dla komendanta ewakuacji, wraz z władzami regionalnymi, byłoby łatwą rzeczą, ogłosić Walesa za przestępcę, pod jakimś spreparowanym zarzutem, i rozkazać wszystkim patrolom policji ewakuacyjnej w Nowym Jorku, żeby go szukały.
Nie śmieli u nikogo szukać pomocy. Jeśli Kendrick był więźniem na małej wysepce, sami muszą spróbować go uratować. A to nie będzie łatwe, sądząc po tym, co powiedział Pulchny.
Wales wjechał w aleję w opustoszałym Jersey City i zaciągnął ich związanego więźnia do pustego sklepu.
— Na razie — oznajmił Wales — zostawimy cię tutaj.
— Ze związanymi rękoma i nogami? — krzyknął Pulchny. — Czemu od razu mnie nie zabijesz i nie skończysz z tym? To miasto jest zamknięte, i mogę sobie krzyczeć przez cały dzień, a nikt mnie nie usłyszy. Zdechnę z głodu! Nikt tu nigdy nie przyjdzie…
— My przyjedziemy i cię uwolnimy — odparł Wales. — Po tym, jak zabierzemy Kendricka z tej wyspy. Ale oczywiście, jeśli nam się nie uda, jeśli nas dorwą, to już nigdy tu nie wrócimy. Chcę, żebyś sobie o tym pomyślał.
Pulchny pomyślał o tym i było jasne, że wcale mu się to nie podoba. Kiedy to do niego dotarło, Wales dodał:
— A teraz powiesz nam wszystko, co wiesz o organizacji na tej wyspie. Ilu jest strażników, gdzie zwykle są, jak są uzbrojeni, gdzie

przetrzymywany jest Kendrick. Wszystko. Jeśli udzielisz nam dostatecznie dobrych informacji, może nam się udać... a wtedy wrócimy po ciebie.

Pulchny załapał o co chodzi. Mówił długo i szybko, gorączkowo przekazując Walesowi każdy skrawek posiadanych informacji.

Zostawili go w tamtym miejscu i doszli pieszo na nabrzeże, a teraz, jeśli znajdą łódź, wyspa była już niedaleko przed nimi.

Jednak nigdzie wzdłuż tych ciemnych nabrzeży nie było żadnej łodzi, nawet kajaka. Wales ruszył dalej wzdłuż brzegu. Nie odważył się użyć światła i mogli tak przez całą noc przeszukiwać ciemne mola bez powodzenia.

Zaczynał już popadać w rozpacz, kiedy dotarli do małej stoczni. Znalazł łódź, potykając się o nią w ciemności. Nie było w niej wioseł, ale szybko sforsował drzwi ciemnej chaty, służącej za biuro, i znalazł je.

— Martho, ustalmy coś zanim wypłyniemy… — Wkładał wiosła do dulek, które wyciszył tak bardzo, jak to tylko możliwe, przy pomocy kłębów szmat. — Kiedy dopłyniemy na wyspę, chcę, żebyś została na brzegu i poczekała.

— Nie boję się… — zaczęła, ale Wales przerwał jej.

— Słuchaj, nie o to chodzi. Tam będzie ciemno. Jeśli będę musiał strzelać, chcę mieć pewność, że przez pomyłkę nie strzelam do ciebie.

Wypchnął łódź na wodę i wziął się za wiosła, spokojnymi pociągnięciami. Był przypływ i musiał to wziąć pod uwagę, ale w Upper Harbour nie było zbyt wielu fal.

Walesowi ponownie przyszło do głowy, jak nierealne wydaje się teraz wszystko na Ziemi. A ta scena już chyba najbardziej! Ten port był niegdyś najruchliwszym miejscem na świecie, zaś nocą wszędzie rozbłyskiwały światła statków, doków i mostów, a nad wszystkim płonął elektryczny blask Manhattanu.

A teraz na wodach panowała cisza i ciemność. Całe miliony ludzi, które żyły na tym wybrzeżu, opuściły Ziemię już dawno temu, a ich miasta były ciemne i pozbawione życia. Jedynie w śródmieściu Manhattanu, gdzie skupiały się nieustanne działania operacji Dzień Zagłady, wciąż widać było wzory oświetlonych okien.

Wales wiosłował przez pewien czas, a potem na chwilę oparł wiosła, odwrócił się i popatrzył przed siebie w ciemność. Zobaczył wysoki cień na tle gwiazd i wiedział, że to wielki posąg. Znowu uniósł wiosła, wiosłując teraz z niesamowitą starannością, by nie wydawać żadnych dźwięków.

Brr-dum-um-um-um-

Na zachodzie wzbił się w niebo następny z potężnych statków rakietowych Windy na Marsa, a potem w krótkim odstępie czasu dwa kolejne.

Ogień ich silników na niebie, zalał wodę i małą łódkę, gwałtownym drżącym blaskiem.

— Na dół! — wyszeptał gorączkowo Wales, i on oraz Martha skulili mocno, wtulając się w mały statek.

Ryk um-um-um ucichł w oddali, przechodząc w mamroczące echa. Wales mógł tylko modlić się, aby nie dostrzeżono ich z leżącej przed nimi wyspy, i wiosłować dalej.

Miał rozpaczliwą nadzieję, że zanim nie dotrą na wyspę, nie będzie już startów kolejnych rakiet ani rozbłysków na niebie. Wydawało mu się, że wiosłuje przez wieczność i nigdzie nie dotarł.

Wtedy, w ciemności, Martha wyszeptała ostrzeżenie. Łódka uderzyła o stały ląd. Wales zauważył wznoszące się nad nimi niskie nabrzeże. Wziął pistolet Venna i wyszedł na brzeg.

Wyszeptał:

— Zostań na łódce, Martho. Będziesz mogła się odepchnąć, jeśli mi się nie uda. — I dodał szybko: — Nie rozumiesz, że jeśli mi się nie uda, będziesz ostatnią nadzieją?

Nie dał jej czasu na spory. Chwycił w dłoń pistolet Venna i ruszył przez ciemność.

Nie było wątpliwości co do kierunku. Na tle gwiazd wznosił się, teraz olbrzymich rozmiarów, posąg. Jeśli Pulchny powiedział prawdę, Lee Kendrick i czwórka agentów tajnej policji Fairliego, którzy go pilnowali, znajdowali się w nim, w środku.

Wales przeszedł przez park z gotowym do strzału krótkim pistoletem. Trawa była wysoka i zdziczała, od długiego braku opieki. A na małej wysepce nie było śladu żadnych dźwięków czy też świateł.

Okrążył posąg i popatrzył na balustradę potężnego piedestału oraz wejście do wnętrza gigantycznej postaci.

Nic. Żadnego światła, ruchu, żadnych odgłosów.

Wales poczuł dreszcz przerażenia. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo zaczynał mieć nadzieję.

Brr-dum…

Usłyszał pierwszy, wstępny ryk z zachodu i natychmiast padł płasko za jakiś krzak.

Wokół niego rozpętało się pełne pandemonium odgłosów startu rakiety, a płonący wykrzyknik na niebie zajaśniał jaskrawym blaskiem.

Wales dostrzegł człowieka z pistoletem pod pachą, stojącego na platformie.

Blask ognia przygasł, a ryk rakiety ucichł w oddali.

Teraz jednak, kiedy poderwał się na nogi, Wales czuł szalony triumf. Strażnik tam był, tak jak powiedział Pulchny, a to oznaczało…

Ruszył do przodu i zaczął wchodzić po stopniach. Był już połowie schodów, poruszając się miękko, kiedy usłyszał na górze szmer.

Wales zamarł w bezruchu. Strażnik na górze mógł go nie usłyszeć. Ale teraz nie mógł zaryzykować tego wszystkiego, co zależało od niego.

Przykucnął, czekając na stopniach, z uniesionym pistoletem Venna. Wydawało mu się, że minęły całe godziny.

Dum-bum-bum…

Gdy ryk odległej rakiety znów przetoczył się w górze, gdy kolumna ognia przemknęła po niebie w jej świetle Wales dostrzegł człowieka na brzegu platformy, wpatrującego się w niego z czujnie uniesionym pistoletem.

Natychmiast Wales strzelił do niego. Strzelał, żeby zabić.

Mężczyzna upadł. Wales wbiegł po schodach, mając nadzieję, że krótki strzał z Venna nie był słyszalny w ryku rakiety.

Ale drzwi na górze otworzyły się i z wnętrza podstawy gigantycznego posągu wylało się światło. W wejściu pojawili się dwaj mężczyźni, wyciągając pistolety.

— Co… — zawołał jeden z nich.

Wales strzelił, przedłużoną serią. Nie miał najmniejszego zamiaru podejmować dodatkowego ryzyka, aby oszczędzić czyjeś życie. Ci na górze i ludzie, dla których pracowali, chcieli odebrać życie milionom innych. Nie było dla nich litości w jego sercu.

Jeden z dwójki stojących w drzwiach, upadł. Drugi, brocząc krwią z ramienia, próbował przełożyć pistolet do drugiej ręki.

Wales pędząc do nich, usłyszał dudnienie kroków wewnątrz posągu i nie miał czasu, by ponownie wystrzelić. Uderzył lufą pistoletu Venna w głowę rannego mężczyzny i przeskoczył nad nim oraz nad leżącym w drzwiach martwym człowiekiem, wpadając w podstawę wyniosłego posągu.

Tutaj paliło się światło. Pobiegł do podnóża krętych schodów prowadzących w górę. Rozgorączkowane stopy biegnące nad nim wywoływały dudniące echa. Dostrzegł parę nóg na schodach…

Strzelił, nogi ugięły się i ze schodów zsunął się mężczyzna, krzycząc i próbując wycelować w niego broń. Wales ponownie nacisnął spust, a kiedy ucichł wizg rykoszetującej stali i echa wystrzałów, zapadła nieprzerwana cisza.

Zaczął wbiegać po schodach. Po chwili usłyszał głos Marty wołającej z dołu.

— Jay!

Odkrzyknął z powrotem i pobiegł dalej z bijącym sercem i ciężko pracującymi płucami.

Wszedł do pomieszczenia z groteskowo zakrzywionej stali, stanowiącego wnętrze gigantycznej głowy. Światło było tu starannie przyciemnione. I w pobliżu leżał na podłodze, skulony, przykuty do ściany człowiek.

Wales skierował na leżącą postać strumień światła. Spoglądała na niego brodata twarz o dzikich, ciemnych oczach – twarz, którą ledwie był w stanie rozpoznać.

— Lee? — powiedział niezdecydowanie. I wtedy nagle był już pewien. — Lee Kendrick.

Kendrick odparł z wahaniem:

— Przecież to Jay Wales. Ale ty byłeś na Marsie. Jak… — I wtedy oczy Kendricka nagle zapłonęły i ochryple wykrzyczał. — Wales, nie wiesz, co się dzieje, co oni planują…

— Wiem — zapewnił go Wales, nachylając się do niego. — Uspokój się. Proszę…

Kendrick ściskał go, bełkocząc, błagając. Dopiero gdy weszła Martha i nachyliła się do krzyczącego brata, Wales zdołał się uwolnić.

Powiedział:

— Spróbuj go uspokoić. Gdzieś musi być klucz do tych kajdanek.

Zszedł po schodach. Mężczyzna, którego postrzelił w ramię, a potem ogłuszył, teraz poruszał się i jęczał.

Wales założył mu prymitywny opatrunek na krwawiące ramię, a następnie związał nadgarstki jego własnym paskiem. Pomyślał, że będzie go to bolało, kiedy ten człowiek przyjdzie do siebie. Miał nadzieję, że tak.

Przeszukał mu kieszenie, aż znalazł klucze, a potem wrócił na górę. Kendrick zdawał się już panować nad sobą. Mówił gorączkowo, gdy Wales dopasowywał klucz.

— Do Dnia Zagłady jest jeszcze czas, prawda? — dopytywał błagalnie. — Wciąż jest czas, aby zabrać wszystkich z Ziemi? Nie jest już za późno?

— Myślę, że może pozostało nam jeszcze wystarczająco dużo czasu — powiedział Wales. Zdjął Kendrickowi kajdanki, i pomógł mu wstać. — Ale wciąż musimy poradzić sobie z Fairliem.

Kendrick wybuchnął potokiem rozszalałych przekleństw i Wales musiał ostro go powstrzymać.

— Skończ z tym, Lee. Czuję dokładnie to samo, ale nie mamy czasu na histerię. Dotarcie do Fairliego, w jego własnej twierdzy w Nowym Jorku, będzie trudne. Powiedz mi, czy on często tutaj bywał?

— Nie było go tu od dwóch tygodni — odparł Kendrick. — On – i Bliss, i inni, którzy są z nim – wiesz, czego ode mnie chcieli. Chcieli, żebym wydał oświadczenie, że Nereus może jednak nie uderzyć w Ziemię. Powiedzieli, że zostawią mnie tutaj na czas Dnia Zagłady, jeśli tego nie zrobię. Niech ich szlag…

Znowu Wales musiał go uspokajać.

— Ci strażnicy nie jeździli przecież do Nowego Jorku, żeby mu składać raporty, co? Używali radia?

Kendrick wyglądał na zaskoczonego.

— No pewnie, że korzystali z niego. Słyszałem je. Ale nie wiem, jakiej tajnej długości fali, używali.

— Może — stwierdził stanowczo Wales — uda nam się tego dowiedzieć. Martho, pomóż mu zejść po schodach.

Znowu zbiegł na dół. Ranny człowiek, którego przedtem skrępował, odzyskał już przytomność. Siedział z pełną bólu twarzą i spoglądał na Walesa szeroko otwartymi, przerażonymi oczyma.

— Tak — oznajmił spokojnie Wales. — Zabiłbym cię z ochotą. Masz rację. Ale może jednak się powstrzymam. Jak masz na nazwisko?

— Mowler.

— Wiesz, jak się połączyć z Fairliem, przez przenośny radiofon? To dobrze, nawiążesz z nim łączność. Powiesz mu, co ci każę.

Zanim znalazł radio i przyniósł je, Kendrick chwiejnie schodził już po ostatnich stopniach, a Martha go podtrzymywała.

Wales zapytał Mowlera:

— Jaka jest długość fali prywatnego radiofonu Fairliego?

Mowler, spojrzawszy mu w twarz, zadrżał i podał ją. Wales ustawił pokrętło.

Potem powiedział rannemu człowiekowi, co ma powiedzieć. Zakończył swój instruktaż słowami:

— Tylko nie próbuj zrobić czegoś nie tak.

Ponownie spoglądając w twarz Walesa, Mowler odparł:

— Nie zrobię tego.

Wales dotknął przycisku wywołania. Trzymał urządzenie przed Mowlerem. I niebawem dobiegł z niego głos.

— Tu mówi Fairlie.

— Tu Mowler — powiedział Mowler. — Nasz gość chce się z panem zobaczyć. Mówi, że jest już gotowy złożyć to oświadczenie – dowolne oświadczenie, jakie pan zechce.

— Najwyższy czas — warknął głos Fairliego. — W porządku, niedługo tam będę.

Wales wyłączył urządzenie i zabrał je. Wyszedł na pomost i czekał w ciemności, z pistoletem Venna w dłoni.

Martha i Kendrick wyszli za nim i kiedy kolejny statek Windy na Marsa wystrzelił na niebie, zobaczył, że jej twarz jest blada i pełna napięcia.

Powiedziała:

— Nie zabijaj go, Jay.

Odparł, nie odwracając się:

— Ewakuacja uległa opóźnieniu i możemy nie mieć już wystarczająco dużo czasu, aby to nadrobić. Możemy nie dać rady na czas wysłać wszystkich z Ziemi. A każdy człowiek, który tutaj pozostanie, zostanie zabity przez Fairliego i jego kumpli.

— Wiem — stwierdziła. — Ale, mimo wszystko nie, Jay.

Nie jej nie obiecał ani nie odpowiedział. Czekał. Niecałą godzinę później usłyszeli pomruk szybkiej łodzi motorowej.

Na wschodnim niebie wstawał szary świt, kiedy Fairlie i jeden uzbrojony człowiek w mundurze policji ewakuacyjnej, weszli po schodach na pomost.

Wales wyszedł na zewnątrz, trzymając wycelowany pistolet Venna, a za nim stanął Kendrick.

Fairlie zatrzymał się. Towarzyszący mu policjant wydał niepewny dźwięk i lekko się poruszył.

— Nie bądź głupi — rzucił mu Fairlie. — Rozwali nas.

Podszedł jeszcze kilka kroków. Popatrzył na Walesa, i na jego potężnej twarzy pojawił się ogromny niesmak.

— Jesteś z siebie dumny, co, Wales? — powiedział Fairlie. — Myślisz, że zrobiłeś coś wielkiego i dzielnego. Uratowałeś lub próbowałeś uratować

wiele istnień ludzkich i to cię uszczęśliwia. — Nagle wściekł się. — Ludzkie męty! Słabe, nieprzystosowane, ci nie-cholernie-dobrzy, którzy obsiadali nas przez całe życie tutaj na Ziemi – a teraz musimy ich ciągnąć ze sobą, by zabrać nas wszystkich na Marsa.

— Nie, Jay — szepnęła Martha, a jej głos zabrzmiał jak jęk bólu.

Fairlie powiedział:

— Pozwól mu. Wolałbym odejść teraz, niż widzieć jak całą ludzką cywilizację ciągnie w dół brzemię bezużytecznego motłochu, który najlepiej by zrobił jakby umarł.

Wales wycedził:

— Jesteś taki pewny, że wiesz kto powinien żyć, a kto umrzeć. Czułeś się takim wielkim człowiekiem, w tajemnicy podejmując tak doniosłe decyzje, prawda? Fairlie, który wie, co jest najlepsze dla wszystkich. Ty i twoi kumple lubiliście to uczucie, co? Zawsze istnieli osobnicy podobni do ciebie…

Przerwał, a potem oznajmił:

— Płyniemy do Nowego Jorku. Chcemy, żeby Kendrick opowiedział swoją historię wszystkim milionom ludzi, którzy są wciąż na Ziemi, a jest to historia, którą potwierdzi dwóch twoich ludzi. Mamy zamiar postarać się zabrać z Ziemi każdą istotę ludzką przed Dniem Zagłady. Ale jeśli to się nie uda…

— I co jeśli się nie uda? — zaszydził Fairlie.

— Dowiesz się tego — wyrzucił z siebie Wales i teraz już się trząsł z wściekłości. — Ponieważ ty, Fairlie, nie opuścisz Ziemi, dopóki ostatnia istota ludzka nie zostanie stąd ewakuowana. Jeśli jakikolwiek człowiek będzie musiał tutaj stawić czoła Dniu Zagłady, ty zmierzysz się z tym razem z nim.

ROZDZIAŁ IX

Nad Nowym Jorkiem na niebie wisiał nowy księżyc, wielki, czerwony i przerażający.

Kiedyś był to zwykły ślad na zdjęciu astronomicznym, zestaw liczb wynikających z obliczeń. Kiedyś stanowił on zagrożenie, lecz abstrakcyjne. Teraz wreszcie stał się czymś prawdziwym. Z tygodnia na tydzień rozrastał się, z rozmiarów iskierki, do punkcika, do małego księżyca, a teraz Świat Kendricka pędził w stronę śmiertelnego spotkania ze swoją większą, siostrzaną planetą.

Wales siedział w gabinecie, przy swoim biurku, w wysokim wieżowcu ONZ, i patrzył przez okno na drapacze chmur majaczące w krwistym, dziwnym świetle. Wszędzie panowała ogromna cisza. Szalony grzmot Windy na Marsa w końcu ucichł. Przedostatnia rakieta odleciała o

zmierzchu, a teraz, gdy nadeszła noc, wydawało się, że cała Ziemia zapadła w ciszę i czeka.

Czuł znużenie, które tłumiło całe jego szczęście z odniesionego sukcesu. Bowiem odnieśli sukces, w ciągu tych czterech szalonych miesięcy. Po tym, jak Lee Kendrick opowiedział światu swoją historię, po zdemaskowaniu i aresztowaniu spiskowców, którzy „dla dobra rasy" bezwzględnie skazali na zagładę miliony istot ludzkich, te miliony wątpiących wcześniej ludzi nagle odczuły pełen paniki wstrząs prawdy, zdały sobie w końcu sprawę, że ten Dzień Zagłady był czymś absolutnie prawdziwym.

Napłynęli do Nowego Jorku, ogarniętym strachem tłumem, z którym trudno było sobie poradzić. A Wales, jako pospiesznie wyznaczony nowy Komendant Ewakuacji, czuł w duszy, że jest już za późno, że część ludzi z pewnością pozostanie.

Jego obliczenia nie uwzględniały jednak pewnej cechy istot ludzkich, które największą siłę okazują w chwilach zagrożenia. Winda na Marsa została przyspieszona, następnie przyspieszona jeszcze bardziej, i tak przyspieszana, aż załogi rakiet mdlały ze zmęczenia na swoich stanowiskach. Ale w końcu udało się tego dokonać…

Otworzyły się drzwi i do gabinetu, w którym siedział zgarbiony i zmęczony Wales z rękoma leżącymi na pustym biurku, weszła Martha.

— Już czas, Jay — powiedziała. — Lee i pozostali czekają.

Popatrzył na nią powoli.

— Zabraliśmy ich wszystkich — stwierdził.

— Tak. Zabraliśmy ich wszystkich.

— Co do jednego — dodał — Fairlie miał rację. Na Marsie będzie nam trudno, a jeszcze trudniej z powodu tych ostatnich milionów. Ale nie sądzę, by ktokolwiek, kiedykolwiek na to narzekał.

Pomyślał o ludziach, którzy przetoczyli się przez Nowy Jork do rakiet Windy na Marsa, w ostatnich dniach i tygodniach.

Pomyślał o Samie Lantermanie i jego ludziach z Pittsburgha, oraz o tym jak Lanterman narzekał: „Do diabła, byłem posiadaczem całego miasta i oto co się stało – wygonił mnie z niego strach! No cóż, myślę, że tam w kosmosie, nie będzie aż tak źle."

Martha, delikatnie dotknęła jego ramienia.

— Chodź, Jay.

Zebrał się i ciężko poszedł z nią do windy.

Zjechali przez cichy, pusty budynek i wyszli na pustą ulicę. Pustą, z wyjątkiem samochodu, w którym czekali Kendrick i dwu innych ludzi, spoglądając w milczeniu na szkarłatną twarz potwora, który zbliżał się szybko, bardzo szybko, w kierunku Ziemi.

Samochód powiózł ich szybko przez puste ulice, pozbawiona życia metropolia wkrótce pozostała za nimi, a oni ruszyli przez wiejskie tereny, które już przybrały dziwny i złowieszczy nowy wygląd, do portu kosmicznego.

Ostatnia rakieta czekała, srebrzysta wieża odbijająca czerwone światło padające z nieba. Wysiedli z samochodu i podeszli do niej.

Przywilej funkcji ostatniego kapitana rakiety, który opuści Ziemię, przypadł Hollenbergowi. Teraz jednak nie wyglądał, jakby jakoś specjalnie cieszył się tym zaszczytem.

— Jesteśmy gotowi — zameldował.

Wales zapytał:

— Czy Fairlie jest na pokładzie?

Hollenberg ponuro skinął głową.

— Jest na pokładzie, w zamknięciu. Był ostatnim ewakuowanym, zgodnie z rozkazem.

Stali nieruchomo, spoglądając na siebie. Po chwili Wales zrozumiał, o co chodzi. Stali na Ziemi i to był ostatni raz, kiedy mogą na niej stać.

Oznajmił szorstko:

— Jeśli jesteśmy gotowi, odlatujmy.

Statek rakietowy uniósł ich w niebo na skrzydłach z płomieni i grzmotu, a pusta, pozbawiona ludzi Ziemia spoczywała w oczekiwaniu.

Milion mil dalej, w kosmosie, spoglądali z portów obserwacyjnych. Widzieli zbliżającą się planetoidę jedynie jako znacznie mniejszą, ciemną masę na tle niebieskiej, pięknej kuli Ziemi.

— Jedna minuta, piętnaście sekund — oznajmił Kendrick suchym, równym głosem.

Martha zaszlochała i ukryła twarz w ramieniu Walesa, a on przytrzymał ją mocno.

— Trzydzieści sekund.

Wales był w stanie myśleć tylko o miastach i ich cichych ulicach, małych domkach starannie zamkniętych i z zabezpieczonymi okiennicami, cichych wiejskich drogach, starych drzewach i polach, nad którymi wisiał czerwony księżyc, zbliżał się do nich, coraz bardziej…

— Uderzyła — ogłosił Kendrick. A potem: — Patrzcie… patrzcie…

Wales widział. Niebieska kula Ziemi nagle zmieniła się, otoczyła ją wydobywająca się z niej biała para, spleciona z buchającymi płomieniami. Gigantyczne wiatry rozerwały parę i ujrzał udręczone kontynenty uginające się, pękające, wznoszące się góry…

Trzymał mocno Marthę i przyglądał się, aż nie był w stanie już dłużej patrzeć, i odwrócił się. Kendrick, przy ustawionym teleskopie, mówił szybko.

— Uszkodzenia na kontynentach nie są takie poważne. Morza zmieniły się teraz w parę, ale z czasem znowu się skondensują. Straszliwe wulkany, lecz nie przetrwają zbyt długo. Z czasem, ponownie ostygnie…

Z czasem, pomyślał Wales. Za ich czasów? Może nawet nie za czasów ich dzieci?

Popatrzył do przodu, na czerwoną iskrę Marsa, na planetę schronienia. Tak, na Marsie to będzie ciężkie życie, dla wszystkich milionów ludzi. Ale w kosmosie są przecież również inne planety, a oni mieli wiedzę i statki. Myślał o tym, że wyruszą dalej niż Mars, znacznie dalej. Myślał, że teraz trudno jeszcze nawet odgadnąć, jak daleko.

Ale pewnego dnia, oni lub ich dzieci powrócą na Starą Ziemię. Tego był zupełnie pewien.

KONIEC